CENA 1sh

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK V. NR 26/210/
LONDYN, NIEDZIELA 1 LIPCA 1951 R.

JAN BIELATOWICZ

ROZMOWA POD SZTANDARAMI

(GEN. MARIAN KUKIEL O BADANIACH HISTORYCZNYCH NA OBCZYŹNIE)

PRAGNĄC Czytelników ŻYCIA poinformować o losie nauki polskiej na obczyźnie, postanowiliśmy przeprowadzić i ogłosić kilka rozmów z najwybitniejszymi naukowcami polskimi, przebywającymi poza Krajem na emigracji politycznej.

Na Zachodzie znajduje się spora grupa polskich uczonych, wśród których powagą i rozmiarami badań wyróżniają się historycy. Skoro mowa o badaniach historycznych, myśl szybuje natychmiast ku dostojnemu pałacowi Instytutu im. Generała Wł. Sikorskiego w Londynie i ku czcigodnej postaci prezesa Instytutu, Generała Mariana Kukiela.

Nazwisko to jest nie tylko symbolem najlepszych tradycji historiografii polskiej, ale również najgłębszego umiłowania dziejów ojczystych, kryształowej wierności i twardej służby wojskowej. Trudno by tedy było zacząć mówić o losie nauki polskiej na obczyźnie, nie skierowawszy pierwszych pytań do Gen. Kukiela.

Jaka — pytamy więc Generała — była działalność naszych historyków na obczyźnie w czasie ostatniej wojny?

Po kampanii wrześniowej — odpowiada Gen. Kukiel — znalazło się na obczyźnie niewielu naszych historyków, w rozproszeniu, pochłoniętych przeważnie jakąś służbą — wojskową czy inną państwową i oderwanych od pracy badawczej na lata. Tak było zwłaszcza we Francji, a później w Wielkiej Brytanii. Ci, co się tu znaleźli, okazyjnie wracać tylko mogli do pracy historycznej myślą i piórem, zazwyczaj pisząc artykuły informacyjne, okolicznościowe, prace popularyzatorskie lub kompendialne.

Inaczej działo się w Ameryce, gdzie profesor Oskar Halecki wraz z profesorem Janem Kucharzewskim już w pierwszych latach wojny powołali do życia Polski Instytut Naukowy. Kierownik jego, profesor Halecki, nadał mu charakter placówki wydawniczej; znakomity historyk w publikacjach Instytutu zapewnił poważne miejsce historii. Zawdzięczamy im monografie śp. Mieczysława Haimana o Kościuszce, wersję angielską wielkiego dzieła Kucharzewskiego pod nowym tytułem „The Origins of Modern Russia", rzecz prof. Haleckiego o krucjacie warneńskiej i szereg innych dzieł. Prof. Haleckiemu zawdzięczamy w dużej mierze ukazanie się „Cambridge History of Poland", w której redakcji od wybuchu wojny sam jeden reprezentował stronę polską.

Trzeba zanotować, że pierwsze skupienie się grona historyków na obczyźnie nastąpiło nie tutaj, ale na Wschodzie i to wokół własnego periodyku. Był to odbijany na powielaczu „Kwartalnik Historyczny", wydawany przez dra Jana Adamusa, śp. dra Waleriana Charkiewicza i dra Leona Koczego przy udziale prof. Stanisława Kościałkowskiego, ks. Kamila Kantaka, a później prof. Henryka Paszkiewicza i innych. Ukazały się cztery jego zeszyty, świadczące o niespożytej żywotności intelektualnej tych ludzi nauki, którzy z łagrów i więzień sowieckich wydobyli się na swobodę.

Niestety nie wszyscy ocaleli. Wśród przepadłych ze Starobielszczanami w nieznanej gdzieś masowej mogile leżą: mój kolega ze szkoły Szymona Askenazego, świetny historyk stosunków polsko-angielskich, Eugeniusz Wawrzkowicz i młody kolega z krakowskich czasów, mediewista, dyrektor biblioteki Akademii Umiejętności, Karol Piotrowicz.

Osobno trzeba wspomnieć o stworzonym przez prof. Kościałkowskiego polskim Instytucie Naukowym na Wschodzie.

W Paryżu po jego wyzwoleniu min. Franciszek Pułaski, dyrektor Biblioteki Polskiej, pochłonięty był rzecz prosta, odbudową i odtworzeniem Biblioteki, którą Niemcy zrujnowali i ograbili. Jego zastępca, dr Czesław Chowaniec, po pięknej służbie bojowej, a później w ruchu podziemnym i w misji wojskowej w Paryżu, dołączył do niego już po wojnie.

Profesor Zygmunt L. Zaleski, po okrutnych przejściach w więzieniach i w Buchenwaldzie, natychmiast po powrocie do Paryża podjął ogromną pracę z ramienia rządu polskiego jako delegat do spraw Oświaty Narodowej. Podnieść należy, że ci trzej ludzie zaraz po wojnie wznowili działalność Towarzystwa Historyczno - Literackiego, stworzonego przed stu dwudziestu laty bez mała przez Wielką Emigrację. Miałem niedawno zaszczyt nielada wygłoszenia dwóch odczytów na zebraniach tej instytucji, w dostojnych murach Biblioteki Polskiej, w których jakby przechadzały się cienie Adama Mickiewicza i Adama Czartoryskiego.

Czy zatem prace historyczne w Wielkiej Brytanii zaczęły się dopiero po wojnie?

Zaczęły się w każdym razie na tym terenie najpóźniej, bo dopiero w ostatnim roku wojny, tj. 1945 i skupiły garść historyków wojskowych. Niebawem przybył ośrodek historyków z Włoch.

W Londynie gromadka byłych członków Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wojska wznowiła jego działalność, skupiając wielu miłośników przeszłości. Z akcją tą wiąże się imię śp. ppłk. dypl. dra Władysława Dziewanowskiego. Wreszcie przyszła incjatywa śp. dra Edmunda Oppmana i dra Józefa Jasnowskiego podjęcia wydawnictwa „Tek Historycznych".

Jesienią 1946 r. przyszli do mnie śp. Dziewanowski i płk. Tadeusz Wasilewski z propozycją wznowienia w Wielkiej Brytanii Polskiego Towarzystwa Historycznego. Zrazu wydawało mi się to zamiarem ponad siły; było nas i jest tak niewielu. Jednakże postanowiliśmy dokonać próby. Inicjatywę poparli prof. Tadeusz Sulimirski, prehistoryk, prof. Władysław Folkierski, świetny humanista, prof. Stanisław Stroński, prawdziwy polihistor, major Otton Laskowski, historyk wojskowości i inni.

Dnia 29 listopada 1946 r. w Instytucie im. Gen. Sikorskiego odbyło się konstytucyjne walne zebranie; od początku 1947 r. zaczęły się comiesięczne zebrania naukowe a od połowy roku ukazywać się zaczęły jako kwartalnik „Teki Historyczne", do których materiał już przedtem przygotowali koledzy Oppman i Jasnowski. Później przybył z Włoch prof. Henryk Paszkiewicz, uzyskano też współpracę kolegów Adamusa i Koczego. Oprócz „Tek" Towarzystwo posiada drugi organ: jego Sekcja Muzealna (ppłk Dziewanowski, płk Węsierski, płk Kozolubski, ppłk Minkiewicz, p. Stanisław Meyer, p. Anrzej Zaremba i inni) wydaje powielane, ale ilustrowane i ręcznie „iluminowane" pismo „Broń i Barwę", a wydała także na powielaczu przedruk nieocenionej jako vademecum pracy śp. Bronisława Gembarzewskiego pt. „Rodowody pułków polskich".

Towarzystwo pracuje nieprzerwanie już piąty rok. Odbyło dotąd ponad 50 posiedzeń naukowych z odczytami i dyskusjami, a jego Sekcja Humanistyczna (prof. Folkierski) osobno 8 z zakresu literatury i sztuki. Pracowały również sekcje: socjologiczna (prof. Sulimirski), muzealna (płk Węsierski) i numizmatyczna. Obecnie powstaje sekcja historii wojskowej.

Jest to działalność niewiele ustępująca intesywności przedwojennej pracy takiego n. p. oddziału krakowskiego Towarzystwa Historycznego — a iluż tam było znakomitych uczonych i ilu młodych pracowników naukowych! Trzeba też podnieść, że frekwencja londyńska jest niegorsza od krakowskiej i dyskusje bywają na niezgorszym poziomie.

Nasz mały kwartalnik „Teki Historyczne" zaczyna już piąty rok istnienia. Na pismo emigracyjne to doprawdy niemało. Byle tylko znalazły się środki, moglibyśmy zwiększyć objętość, a i podjąć osobną publikację większych rozpraw. Mam pewność, że materiału by nie brakło.

Towarzystwo dysponowało przez cały czas środkami doprawdy minimalnymi. Stało ofiarną pracą jego członków. Muszę wspomnieć z wdzięcznością kolejnych sekretarzy: śp. ppłk. dra Władysława Dziewanowskiego, mgr. Halinę Heitzmanową (dziś w Ameryce), śp. dra Edmunda Oppmana i obecnie dra Marka Różyckiego z pomocą p. Andrzeja Zaremby. Skarbniczką była od początku i pozostaje mgr. Maria Danilewiczowa, sekretarzując zarazem Sekcji Humanistycznej.

„Teki" redagował najpierw dr Jasnowski z drem Oppmanem, następnie mjr. mgr Otton Laskowski z drem W. Weintraubem, który dzisiaj wykłada polską historię i literaturę na Harvard University w Stanach Zjednoczonych. Ale już ta lista nazwisk najbliższych mi współpracowników wskazuje na bolesne straty, które to grono poniosło przez zgon jednych i wyjazd za ocean innych. Mimo tych wyłomów praca idzie dalej.



GEN. DYW. PROF. MARIAN KUKIEL

Urodzony w roku 1885. Doktor filozofii Uniwersytetu Jana Kazimierza, docent historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektor Muzeum Czartoryskich w Krakowie, członek Polskiej Akademii Umiejętności, historyk. W czasie ostatniej wojny minister Obrony Narodowej rządu polskiego oraz przez dwa lata dowódca 1 Korpusu w Szkocji. Obecnie prezes Zarządu Instytutu im. Gen. Sikorskiego i Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie.

Jakie są założenia programowe Towarzystwa?

Wyraziliśmy je w słowie wstępnym pierwszego numeru „Tek". Szło najpierw o to, by wznowić organizację historyków polskich w wolnym świecie, w tym kraju, gdzie się najwięcej ich skupiło, by pobudzić ich do wyzyskania tych możliwości badawczych, które daje im pobyt na Zachodzie oraz — choć w szczupłych z konieczności granicah — tych możliwości pisarskich i wydawniczych, które daje całkowita wolność badania, wolność słowa i druku. Chcemy pracować dalej dla dobra nauki polskiej, a zarazem służyć rzetelną informacją w zakresie nauk historycznych ogółowi polskiemu na obczyźnie; chcemy — dodać należy — informować go o pracach historycznych w Kraju i o warunkach, w jakich znalazły się tam nauki historyczne i w ogóle humanistyczne, a z drugiej strony podawać informacje o pracach historyków polskich na obczyźnie i o najważniejszych zjawiskach w literaturze historycznej Zachodu. W tym kierunku szły nasze wysiłki i muszą iść nadal, tym bardziej, im bardziej tam w Kraju wzmaga się ciśnienie totalistycznej doktryny, gniotącej swobodę myśli naukowej, pozbawiającej uczonych nie „nawróconych" na obowiązującą doktrynę możności publikacji ich prac.

Z każdym rokiem nasz skromny wysiłek nabiera znaczenia. Gdy w roku zeszłym czytaliśmy na wstępie do tomu „Kwartalnika Historycznego" (wydawanego w Kraju) przedmowę, odsądzającą od wartości naukowej nie tylko cały dotychczasowy dorobek polskiej historiografii, ale nawet zawarte w tymże tomie prace kolegów i zapowiedź redaktora, nowokreowanego „marksisty", że on z tym wszystkim zrobi porządek, tym oczywistszym stawał się nam obowiązek naszego tu istnienia jako organizacji, jako pisma, jako ośrodka polskiej myśli historycznej.

Czy Towarzystwo sięga działalnością poza Wielką Brytanię?

Pierwszym naszym wysiłkiem w kierunku współpracy z historykami polskimi na kontynencie i za oceanem był nasz udział w utworzeniu delegacji polskiej na IX Kongres Międzynarodowy Nauk Historycznych w Paryżu w roku ubiegłym. Powstał tam pod przewodnictwem prof. Haleckiego polski komitet nauk historycznych, w którym jesteśmy reprezentowani. Byliśmy również reprezentowani na dwu Międzynarodowych Kongresach Historyków Literatury w Paryżu i w roku bieżącym we Florencji (przez profesorów Folkierskiego i Zaleskiego).

Mamy też zaszczyt mieć jako członków honorowych profesorów Kucharzewskiego i Haleckiego ze Stanów Zjednoczonych, Kościałkowskiego (dziś już znajdującego się między nami), min. Pułaskiego z Paryża, ks. prof. Meysztowicza z Rzymu. Przez wybór ich zaznaczyliśmy dążność do współdziałania naszego Towarzystwa z bratnimi instytucjami w innych krajach.

Jaki jest stosunek Towarzystwa do Instytutu im. Gen. Sikorskiego, Komisji Historycznej Sztabu Głównego i innych instytucji o pokrewnych zadaniach?

Wszystkie inne zajmują się raczej historią współczesną, można by to nazwać historią bieżącą. My postawiliśmy sobie terminus ad quem — rok 1921, to jest chwilę, gdy odbudowana Rzeczpospolita zakończyła walkę o swe granice, a Europa powersalska na ogół ustaliła swą mapę. (Dla porównania warto zaznaczyć, że Towarzystwo Historyczne przed wojną nie sięgało w swych pracach poza powstanie styczniowe.)

Rozdział zadań jest zatem łatwy. A dodać trzeba, że Instytut im. Sikorskiego, z którego gościnności i pomocy korzystamy od pierwszej chwili, jest przede wszystkim archiwum i muzeum, a Polish Research Centre, również instytucja blisko zaprzyjaźniona, jest przede wszystkim bezcenną biblioteką.

Czy Pan Generał mógłby wymienić jakieś wybitne dzieła naukowe naszych historyków powstałe na emigracji?

Wobec trudności wydawania książek — w piśmiennictwie historycznym polskim na obczyźnie przeważa szkic lub szczupła rozprawa. Tomy można by z tego poskładać.

Niewiele lepsze warunki wydawnicze są w Stanach Zjednoczonych. Oprócz wspomnianych już prac profesorów Kucharzewskiego i Oskara Haleckiego ten ostatni ogłosił książkę „The Limits and Divisions of European History", rozważającą w czasie i przestrzeni całokształt dziejów naszej cywilizacji aż do obecnego okresu przejściowego, kiedy kończy się jej epoka europejska, a zaczyna się atlantycka. Książka, aczkolwiek nie podzielam jej poglądu, jakoby historia Rosji nie wchodziła w skład dziejów Europy, jest fascynująca, pełna myśli i erudycji.

Prof. Halecki wydał także obszerne kompendium „A History of Poland" (1942 — 43) i niedawno dzieło pt. „Eugenio Pacelli: Pope of Peace" (1951). Zapowiedziana jest jego „A History of Eastern Central Europe".

Na terenie Wielkiej Brytanii jest bardzo trudno wskazać jakąkolwiek pracę ściśle badawczą, ogłoszoną drukiem. Wiele natomiast prac jest w przygotowaniu.

Zgon przerwał poważną pracę dra Edmunda Oppmana nad sprawą polską w okresie powstaniowym. W ogóle strata tego uczonego czyni dotkliwy wyłom w badaniach nad dziejami Polski porozbiorowej. Pewne ich okruchy znalazły się w „Tekach".

Dr Jasnowski zebrał cenny materiał do dziejów polsko-angielskich, publikowany w ostatnim zeszycie zawieszonego wydawnictwa „Polish Science and Learning". Liczne rozprawy, rozproszone po czasopismach polskich i obcych, odnoszące się do pradziejów Polski, ogłosił prof. Sulimirski. W ogóle warto zaznaczyć, że czasopisma nawet niespecjalne, nienaukowe w znacznej mierze przyczyniają się do spopularyzowania i ogłaszania wyników prac badawczych. Czasopisma obce nie mają szczególnego zainteresowania historią polską, lecz publikują czasem nasze prace.

Obie książki „Grunwald" i „Jan Sobieski" Ottona Laskowskiego, wydane w latach wojny, są przedrukami.

Jako wielka rewelacja naukowa zapowiada się dzieło prof. Henryka Paszkiewicza z zakresu historii pierwszych wieków państwowości polskiej i krajów sąsiednich. Wersja angielska tej książki jest gotowa do druku. Może ona przynieść zupełną rewizję poglądów na sprawy Polski i Słowiańszczyzny w ich wczesnym okresie historycznym. Częściowo wyniki swych badań ogłaszał prof. Paszkiewicz w „Tekach" i w odczytach.

Doc. Koczy kontynuuje daleko posunięte studia nad krucjatami.

W rękopisie znajdują się prace dra Chowańca, dra Marka Wajsbluma (historia reformacji) oraz liczne prace z zakresu humanistyki. Jestem przekonany, że moglibyśmy podjąć wydawnictwo ciągłe większych rozpraw historycznych w języku polskim i angielskim w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych. Materiału jest dość, nie ma niestety środków materialnych.

Z prac humanistycznych trzeba wspomnieć świetnie zapowiadającą się pracę dr Karoliny Lanckorońskiej o Michale Aniole. Mieliśmy okazję słyszeć jej fragmenty w fascynujących odczytach. Oczekujemy ukazania się księgi zbiorowej prac literackich na stulecie zgonu Juliusza Słowackiego. Wiemy o rewelacyjnych pracach prof. Folkierskiego nad wpływami Islamu w naszej kulturze. Wiemy też o bardzo cennych pracach dra Wiktora Weintrauba, polonisty i historyka kultury, który przygotowuje większą rzecz o Adamie Mickiewiczu i zarys historii literatury polskiej po angielsku. W Stanach Zjednoczonych kontynuuje swe studia rusycystyczne i polonistyczne prof. Wacław Lednicki. Głębokie studia prof. Zaleskiego nad Balzakiem, dojrzewają do formy książkowej.

Wznowione są prace prof. Stanisława Kota z zakresu stosunków kulturalnych i politycznych Polski z Zachodem. Wyniki tych badań publikowane były w wydawnictwach włoskich, francuskich, belgijskich i szwajcarskich.

Chciałbym jeszcze dodać, że historykom „konkurencję" czynią nie-historycy, ogłaszający raz po raz wysokiej wartości rozprawki a nawet całe dzieła historyczne. Mam na myśli książki takie, jak prof. Adama Żółtowskiego „The borders of Europe", (zarys dziejów naszych ziem wschodnich), jak prof. Wielhorskiego „Zarys historii Litwy" czy świetne szkice historyczne Stefana Badeniego, będące ozdobą „Wiadomości" i pisma Jędrzeja Giertycha prowokujące dyskusję.

A jakie ze swoich prac mógłby Pan Generał wymienić?

Poza szkicami w czasopismach osobno wyszła odbitka z „Kultury" krótkiego życiorysu „Księcia Adama". Duża monografia Księcia Czartoryskiego, napisana przeze mnie po angielsku, gotowa, oczekuje na wydawcę. Przedrukowany został bez zmian „Zarys dziejów wojskowości polskiej". Myślę o wersji angielskiej „Wojny 1812 roku".

* * *

Rozmowa dobiegła końca. W Instytucie im. Gen. Sikorskiego zachodzące słońce padło na polskie sztandary i na głowę jednego z ich najwierniejszych strażników.

Rozmowę spisał
Jan Bielatowicz

Ks. RAFAŁ GOGOLIŃSKI-ELSTON

LIST W SPRAWIE „ŻYCIA"

Przed kilku miesiącami otrzymaliśmy od Ks. R. Gogolińskiego-Elstona długi list, poruszający różne zagadnienia związane z naszym tygodnikiem, jako pismem katolickim. List nadszedł w chwili, gdy przystępowaliśmy do reorganizacji pisma w związku ze znanymi trudnościami na rynku papierniczym. W okresie takich zmian, przeobrażania formatu pisma i jego układu wewnętrznego — nie byliśmy w możności zamieszczenia listu-artykułu obejmującego blisko tysiąc wierszy druku.

Umieszczamy list obecnie, sądząc, iż wiele jego punktów ciągle jest aktualnych. List zawiera uwagi krytyczne, niekiedy ostre. Sądzimy, iż tym bardziej powinien być umieszczony, nie tylko dlatego, żeby dać głos czytelnikom, którzy w tych czy innych punktach poddają nasze pismo krytyce, ale i dlatego, ażeby można łącznie właśnie z takimi krytycznymi, lecz życzliwymi, Czytelnikami ulepszać nasz tygodnik. Jest rzeczą oczywistą, że te i inne twierdzenia listu wymagały riposty. Być może, że przy okazji wrócimy do nich. List wszakże sam jest tak obszerny i tyle porusza spraw, że w tej chwili nawet technicznie trudno by nań było odpowiadać. — RED.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

OD pięciu lat jestem prenumeratorem poczytnego pisma ŻYCIE. Wyznaję, że nie zawsze czytuję ten periodyk od deski do deski, zawsze jednak z zainteresowaniem przeglądam każdy numer ŻYCIA bez wyjątku. Tygodnik, jego kierunek i losy obchodziły mnie i obchodzą nadal żywo, ŻYCIE bowiem zostało założone przez polskich księży przede wszystkim po to, by było pomocą duchowieństwu w jego duszpasterzowaniu. To był, Panie Redaktorze, z całą pewnością pierwszy cel ŻYCIA, wszystkie zaś inne cele (jak np. szerzenie światopoglądu katolickiego, zaznajamianie z doktryną katolicką, z katolickimi prądami i wydarzeniami w świecie etc.) miały służyć tamtemu celowi, pierwszemu i najważniejszemu: ŻYCIE miało pomagać polskim księżom w ich wysiłkach utrzymania Polaków na emigracji w wierze katolickiej, w ich wierności Stolicy Apostolskiej, jak również miało ono hamować proces możliwego wynaradawiania się Polaków na obczyźnie.

Od pewnego czasu w ŻYCIU zachodzić zaczęły zmiany inne, niż dotychczasowe, których dotąd było niemało, ale do których niejeden czytelnik przyzwyczaić się miał dość czasu i sposobności. Nowe zmiany dotyczyły tak typu jak i charakteru pisma. W swoim artykule pt. „Sprawy celu, sposobu i drogi" (ŻYCIE, Nr 50/181 z dn. 10. 12. 1950) zapowiedział Pan owe zmiany i sprecyzował je tak: „ŻYCIE ma być tygodnikiem, w którym główny akcent położony jest na publicystykę. Położony on będzie mocniej niż dotychczas. (...) Myli się więc z gruntu ten, kto sądzi, że na łamach ŻYCIA nie będzie spraw drażliwych, trudnych i kłopotliwych. Będą, będzie ich właśnie jeszcze więcej, niż dotychczas. Nie wiem, czy nam się to uda, ale mamy najszczerszą chęć podnosić ze ścieżki polskiej każdą polską biedę, każdy polski błąd i każdą polską wielkość, którą dostrzegamy — i oświetlać w najsumienniejszy sposób. (...) Inną jest rzecz, że cała ta publicystyka, skoro ma być taka, musi szczególnie baczyć i kontrolować, aby każdy poruszony temat wynikał z istotnej społecznej potrzeby, aby był poruszony całkowicie, jasno i wyraźnie, oraz aby — podnoszone twierdzenia — były dobrze i gruntownie uzasadnione."

Obawiam się, że grudniowa zapowiedź Pana, Panie Redaktorze, że w ŻYCIU „spraw drażliwych, trudnych i kłopotliwych będzie więcej, niż dotychczas" spełnia się jak dotąd w zupełności. Ale czy istotnie spełnia się inna zapowiedź Pana, że w ŻYCIU „ta cała publicystyka skoro ma być taka, (jaką Pan zapowiedział!) musi szczególnie baczyć i kontrolować, aby każdy poruszony temat wynikał z istotnej społecznej potrzeby, aby był poruszony całkowicie, jasno i wyraźnie, oraz aby — podnoszone twierdzenia — były dobrze i gruntownie uzasadnione"? Nie, Panie Redaktorze, ta zapowiedź Pana daleka jest, jak dotąd, od realizacji, bo, jak mam aż nadto dość powodów sądzić, „ta cała publicystyka" ŻYCIA porusza tematy, które wcale nie wynikają ani z istotnej, ani nawet z nieistotnej społecznej potrzeby, a „podnoszone twierdzenia" nie są ani „dobrze" ani „gruntownie uzasadnione".

Napisał Pan w swoim grudniowym artykule, że „nikt z dziennikarzy napewno nie zna pisma najstaranniej redagowanego, najlepiej strzeżonego, które by nie miało jakichś pomyłek i potknięć. W tygodniku katolickim ŻYCIE również się bez nich nie obyło. Ta czy inna rzecz została umieszczona niepotrzebnie, parę spraw zostało przedstawionych w sposób pośpieszny i uproszczony. Ale aby to miało wywołać aż tak rozjuszoną nagonkę? Troszkę pomieszały się proporcje".

Zapewne, Panie Redaktorze, mylić się jest rzeczą ludzką. Pomyłki w życiu i w ŻYCIU, niestety, były i, niestety, będą. Inna rzecz, czy wszystkie dotychczasowe pomyłki i potknięcia ŻYCIA były nie do uniknięcia. Śmiem twierdzić, że wielu pomyłek i potknięć dałoby się uniknąć, gdyby ŻYCIE było nie już „najlepiej", ale nieco lepiej „strzeżone".

Kończąc swój grudniowy artykuł, Pan Redaktor zaznaczył wyraźnie, że „wszystko, co się u nas (tj. w ośrodku wydawniczym Veritasu) dzieje, planuje i przeprowadza, dzieje się w obrębie bardzo określonego światopoglądu, światopoglądu katolickiego. Staramy się, aby wszystko z niego wyrastało, aby on kierował i nasza postawą wobec rzeczywistości i naszym w niej udziałem (...) Czytelnik, który bierze do ręki książkę, czy czasopismo „Veritasu", powinien wiedzieć, że bierze książkę czy pismo walki o wielką rzecz, ale i o jego osobisty los".

Te Pańskie słowa, Panie Redaktorze które — wierzę — że nie są pustym tylko frazesem, i to, że periodyk ŻYCIE, pomimo zachodzących w nim od grudnia zmian, nosi nadal niezmieniony podtytuł: „katolicki tygodnik religijno-kulturalny" — wszystko to ośmiela mnie i upoważnia, jako czytelnika ŻYCIA i katolika, do podzielenia się z Panem, jako Redaktorem pisma, paru spostrzeżeniami na temat „tej całej publicystyki" ŻYCIA, nie gwoli chęci wzięcia udziału w jakiejś nowej na ŻYCIE „rozjuszonej nagonce", ale żeby w ŻYCIU i poza ŻYCIEM więcej i bardziej nie „pomieszały się proporcje".

* * *

Wspomniał Pan w swoim artykule o „sprawach drażliwych", których według zapowiedzi Pana, miało być w ŻYCIU „więcej niż dotychczas". Zacznijmy więc od „Drażliwej sprawy", tj. od tak właśnie, a nie inaczej zatytułowanego artykuliku (ŻYCIE Nr 8/192, z dn. 25.2.51), którego autor, podpisany inicjałałami **jt**, omawia wypowiedzi pastora W. Hannaha, ogłoszone w anglikańskim czasopiśmie „Theology" na temat „Kościół anglikański i masoneria". Przytaczając owe wypowiedzi pastora Hannaha o należeniu do masonerii anglikańskich biskupów, duchowieństwa i wiernych p.**jt** ni z tego ni z owego, tak pisze: „I w Kościele katolickim nie brak naiwnych duchownych i zakonników podobnych do dziekana z Canterbury, lub głoszących, że Eucharystia jest tylko pobożnym symbolem nad pustką, nie zawiera bowiem realnej obecności Jezusa Chrystusa. Nie tutaj też jest w anglikanizmie bieda najgłówniejsza, boć czerwonych dziekanów katolickich też nie brak".

Śmiem zapytać Pana Redaktora, co to wszysto znaczy? Czy tak mówi o katolickich duchownych pastor Hannah w swoim artykule? Nie, bo dobry ten pastor zajmuje się wyłącznie swoimi biskupami, klerem i masonerią. To pan **jt**, ze znanych tylko chyba sobie powodów, oderwawszy się od omawianego przez siebie tematu, sam z własnej woli i upodobania czyni wypad i upodabnia „naiwnych katolickich duchownych i zakonników do dziekana z Canterbury". Nie wiem, dlaczego pan **jt** „zakonników" wyodrębnia od „duchownych" i nie wiem w czym ci zakonnicy i duchowni są podobni do dziekana z Canterbury, czy z tego powodu, że są oni masonami, czy dlatego, że są oni jak on wielbicielami Sowietów i wyznawcami marksizmu. Co znaczy twierdzenie pana **jt** że „w Kościele katolickim nie brak jest naiwnych duchownych i zakonników (...), głoszących, że Eucharystia jest tylko pobożnym symbolem nad pustką, nie zawiera bowiem realnej obecności Jezusa Chrystusa"? Co oznaczają te słowa: „nie brak"?

Czyżby pan **jt** twierdzenie swoje ważył się „dobrze i gruntownie uzasadnić", opierając je na jednym ze zdań Encykliki „Humani generis", zaczynającym się od słów: „nie brak"?

Prawda, w Encyklice z 12 sierpnia 1950 r. (Humani generis — O pewnych błędach zagrażających podstawom nauki katolickiej") Papież Pius XII mówi: „Nie brak i takich, co uważają, że doktrynę o Przeistoczeniu, opartą jakoby na przestarzałych pojęciach filozoficznych, należy zmienić w tym sensie, by obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie sprowadzić do jakiegoś symbolizmu i Postacie konsekrowane uważać jedynie za znaki skuteczne duchowej obecności Chrystusa i Jego wewnętrznego jednoczenia się z wiernymi, jako członkami Ciała Mistycznego". Jednak z kontekstu Encykliki wynika wyraźnie, że Papież ma na myśli zaledwie kilku, czy choćby kilkunastu teologów i filozofów, usiłujących tworzyć nowe teorie i prądy w teologii i filozofii katolickiej, które „nęcić mogą nierozważnych" i które orzeczeniem Papieża zostały uznane za błędne. „Wolimy zaradzić początkom choroby niż leczyć już zastarzałą — mówi w Encyklice Ojciec Święty i dodaje — Biskupom i Przełożonym Zgromadzeń Zakonnych, zobowiązując ich w sumieniu, nakazujemy, aby jak najgorliwiej czuwali i nie dopuszczali do nauczania podobnych teorii w szkołach, na zjazdach lub w pismach jakichkolwiek i do głoszenia ich w jaki bądź sposób wobec duchownych albo wiernych". Powyższe słowa oznaczają niedwuznacznie, że błędy, potępione przez Encyklikę, są na ogół świeżej bardzo daty, poczęły dopiero kiełkować, więc dopiero „m o g ą nęcić nierozważnych" i pochodzą głównie od teoretyków i wykładowców teologii lub filozofii. Mimo, że Encyklika nie podaje żadnych nazwisk, nasz wybitny tomista o. I. M. Bocheński, O. P. w swoim artykule, drukowanym w listopadowej „Kulturze" (Nr 11/37. 1950) nie tylko wskazuje dokładnie prądy myślowe, przeciw którym skierowana jest Encyklika „Humani generis" lecz wymienia on również nazwiska kilku teologów i filozofów, cytaty z dzieł których, jego zdaniem, są użyte w Encyklice. Ostre wystąpienie o. Bocheńskiego przeciwko francuskim jezuitom, ks. Lubac — z tzw. szkoły Lyońskiej — i ks. Teilhard de Chardins — o którym o. Bocheński mówi, że jest „twórcą panteistycznej teorii ewolucjonistycznej, znajdującym się właściwie już poza chrześcijaństwem" — jak zresztą w ogóle fakt wymienienia przez o. Bocheńskiego nazwisk, których w Encyklice nie ma, wywołały gwałtowne protesty m. in. ze strony dwóch duchownych: Francuza, ks. kan. Leveque z Paryża i Polaka, ks. Szymusiaka, jezuity z Belgii (Kultura — styczeń 1951). O. Bocheński twierdzi w swoim artykule, że ruchy potępione przez Encyklikę powstały przeważnie we Francji (przeciw temu twierdzeniu gorąco prostestuje ks. kan. Leveque), „poza Francją, choć o mniejszej ostrości, istniały w Austrii (Insbruck) i w Niemczech, a także w Belgii. Natomiast Stany Zjednoczone, Kanada, Hiszpania, Włochy, Holandia i Szwajcaria nie zostały, jak się zdaje dotknięte" (Kultura — listopad, 1950, str. 10). Wprawdzie Papież mówi w Encyklice, że „podobne nowości wydały już zatrute owoce we wszystkich prawie gałęziach teologii", ale zaznacza również, że „woli zaradzić **początkom** choroby niż leczyć już zastarzałą". Miejmy więc nadzieję, że fałszywe prądy zostały już w zarodku zahamowane, środki zaradcze przeciwko nim podjęto skuteczne i niebezpieczeństwo zostało opanowane w zupełności. Jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość: oto ruchy potępione nigdy i nigdzie nie objęły duchowieństwa katolickiego ani w całości, ani nawet w, zasługującej na jakąkolwiek uwagę, części. Zapewniam Pana, Panie Redaktorze, że żaden katolicki duchowny, naiwny czy nienaiwny; w jakikolwiek sposób „głoszący, że Eucharystia jest tylko pobożnym symbolem nad pustką..." w żadnej diecezji nie będzie ani chwili tolerowany, ani też podobnych poglądów na ten temat głosić zbyt długo nie zdoła, gdyż ordynariusz lokalny usunie go natychmiast z urzędu, pozbawi go prawa sprawowania czynności kapłańskich, informując przy tym należycie wiernych i ostrzegając ich przed takim duchownym i przed takimi jego poglądami.

Zdaniem moim, twierdzenie pana **jt**, że w „Kościele katolickim nie brak naiwnych duchownych i zakonników (...), głoszących, że Eucharystia jest tylko pobożnym symbolem nad pustką itd.", będąc absolutnie niezrozumiałym i dowolnym uogólnianiem, jest nad wyraz niebezpiecznym szermowaniem słowami, które są szkodliwe, obrażające i wysoce krzywdzące. Jak również jest niedopuszczalną w ogóle a w „katolickim tygodniku religijno-kulturalnym" w szczególe, insynuacją, podrywającą autorytet katolickich duchownych i mogącą podważyć wiarę wiernych.

Panu, Panie Redaktorze, pozostawiam osąd, czy wstawka o owych „naiwnych duchownych i zakonnikach" w artykuliku pana **jt** „wynikała z istotnej społecznej potrzeby", oraz czy podniesione przez pana **jt** „twierdzenia były dobrze i gruntownie uzasadnione".

* * *

W jednym z grudniowych numerów ŻYCIA (Nr 51/182 z dn. 17. 12. 50) napotkałem recenzję pt. „Dwa wieczory adwentowe", podpisaną przez (SP).

Sprawozdawca, nie szczędzący zapewne aż nadto zasłużonych pochwał owym adwentowym wieczorom, z których jeden (pierwszy) urządzony był w lokalu londyńskiej YMCA, tak kończy swoją recenzję: „Z uczuciem szczerej satysfakcji wracałem z tego wieczoru. Żałowałem tylko, że polot i sumienna praca organizatorów i wykonawców poszły w dużej części na marne z powodu słabej frekwencji publiczności. Znacznie lepiej dopisała publiczność na wieczorze u Inwalidów (sala przy Brompton Oratory), choć i ten wieczór nie zdołał wyrwać z apatii kulturalnej polskich studentów w Londynie".

Muszę Panu wyznać, że przeczytawszy omawianą recenzję, przetarłem oczy, przeczytałem ją jeszcze raz i sprawdziłem tytuł i podtytuł pisma, drukującego tę recenzję. Nie było żadnej wątpliwości — było to ŻYCIE, katolicki tygodnik religijno - kulturalny.

Jest, Panie Redaktorze, taki List Kongregacji Św. Oficjum z dn. 5. 11. 1920 r., skierowany do wszystkich Biskupów. List ten dotąd nie odwołany, a więc dotąd obowiązujący, nakazuje Ordynariuszom zwrócenie czujnej uwagi na wysoce niebezpieczną działalność niekatolickich stowarzyszeń, które, według słów Listu, „zastawiają sidła głównie na nasze młode pokolenie, a to w sposób niezwykle szkodliwy, mianowicie dając mu różne udogodnienia, pod pozorem których szerzą (...) kulturę umysłową i duchową, w samej zaś rzeczy niszczą czystość prawdziwej wiary katolickiej i wyrywają z objęć Matki-Kościoła jego dzieci Rzecz więc zrozumiała, że tego rodzaju stowarzyszenia, cieszące się poparciem, pomocą, oraz opieką ludzi bardzo wybitnych i sprawiające swą dobroczynność w sposób wielce użyteczny, oszukują ludzi niedoświadczonych, którzy nie przeniknęli i nie zrozumieli ich istoty. (...) Głoszą one, że pragną kształcić umysły i obyczaje młodego pokolenia za pomocą odpowiednich ćwiczeń, a uważając tę kulturę za namiastkę religii, określają ją, jako zupełną wolność myśli, niezależną i oddzielną od każdej religii i wszelkiego wyznania. Stwierdzając więc, że niosą światło przed młodzieżą, usuwają ją spod kierownictwa Kościoła, który sam jest światłem prawdy z woli Bożej ustanowionym, i nawołują młodzież, by szukała światła, którym by miała się kierować w głębi swego ducha, czyli w ciasnym obrębie ludzkiego rozumu. (...) Do tego potrzasku zapędza się głównie młodzież uczącą się obojga płci, właśnie tę młodzież, która tak bardzo potrzebuje pomocy z zewnątrz dla zrozumienia mądrości chrześcijańskiej i dla zachowania wiary... (...) Spośród tych stowarzyszeń wystarczy wspomnieć to, które, będąc niby macierzą wielu innych, jest najbardziej znane, (ponieważ ono to głównie niosło wybitną pomoc wielu ofiarom w czasie trwania tej okrutnej wojny), wyposażone w najbogatsze środki, mianowicie stowarzyszenie Young Men's Christian Association, w skrócie Y.M.C.A., któremu, zapewne bezwiednie, sprzyjają niekatolicy dobrej woli i za którymi przemawiają niektórzy bardziej pobłażliwie usposobieni katolicy, którzy nie znają jego istotnej natury". List kończy się wezwaniem, by Ordynariusze „starannie chronili młodzież przed zaraźliwym wpływem tych stowarzyszeń, których działalność, dokonywana w imię Chrystusowe, zagraża zatraceniem najcenniejszych wartości, jakie młodzież posiada z Łaski Chrystusa Pana".

Wymienienie w Liście Kongregacji Św. Oficjum jedynie YMCA z dodaniem, że jest ona „niby macierzą wielu innych" stowarzyszeń, działających przeciwko wierze, wskazuje niezbicie, że Kongregacja uznała YMCA za stowarzyszenie najbardziej szkodliwe i niebezpieczne wśród innych stowarzyszeń podobnych.

Biskup Polowy W. P. zwrócił się pod koniec ostatniej wojny do Kongregacji Św. Oficjum, stawiając jej następujące pytania:

„(1) czy Biskup może wydelegować do zarządu stowarzyszenia „Polska YMCA" jednego z kapelanów w charakterze doradcy do spraw religijnych?

(2) czy Biskup może zezwolić kapelanom na poświęcenie świetlic YMCA?

(3) czy Biskup może pozwolić kapelanom na jakąkolwiek współpracę z YMCA?"

Na wszystkie powyższe pytania Kardynałowie, należący do Kongregacji Św. Oficjum, odpowiedzieli p r z e c z ą c o (Dekr. 151/20 z dn. 21. 2. 1945). (Mimochodem zaznaczę, że tzw. „Polska YMCA" jako odrębna i niezależna sekcja YMCA światowej, bodajże od dwóch już lat nie istnieje w ogóle, i że londyński dom YMCA dla Polaków, mimo swej polskiej nazwy i polskiego personelu, podporządkowany jest całkowicie YMCA brytyjskiej, która go utrzymuje i prowadzi.

Więc jak to jest, Panie Redaktorze? Kongregacja Św. Oficjum nakazuje chronienie młodzieży katolickiej od kontaktu z YMCA. Ordynariusze wydają w tym celu odpowiednie zarządzenia, a ŻYCIE — katolicki tygodnik religijno-kulturalny wbrew wyraźnym instrukcjom Stolicy Apostolskiej, umieszcza recenzję, będącą niczym innym jak tylko reklamą i propagandą dla YMCA'owych imprez!

Pan (SP), jak sądzę, może chodzić na imprezy i wieczory, na jakie mu żywnie się podoba, obdarzony on jest wolną wolą i sam za siebie odpowiada. Może pan (SP) pisać o YMCA'owych wieczorach, a nawet ubolewać, że publiczność, a szczególnie polska młodzież na te wieczory nie uczęszcza tłumnie. I to mu wolno. Ale drukować tego, co pan (SP) na ten temat pisze, katolickiemu tygodnikowi nie przystoi i nie uchodzi, gdyż w tygodniku katolickim nie powinno być niczego, co jest reklamą i propagandą stowarzyszeń, działających przeciwko katolickiej wierze. Kongregacja zaś Św. Oficjum za takie właśnie stowarzyszenie uważa przede wszystkim YMCA.

W swoim grudniowym artykule napisał Pan, Panie Redaktorze, że „wszystko, co się u nas (tj. w ośrodku wydawniczym Veritas) dzieje, planuje i przeprowadza, dzieje się w obrębie bardzo określonego światopoglądu, światopoglądu katolickiego". Nie mogę zrozumieć, jak Panowie w swoim ośrodku wydawniczym Veritas możecie pogodzić światopogląd katolicki z rzeczami wyraźnie napiętnowanymi i potępionymi przez Stolicę Apostolską. Czy nie uważa Pan Redaktor, że jest to przecież absolutnie niemożliwe?

* * *

W Nr 5/189 ŻYCIA z dn. 4. 2. 51 ukazał się artykuł ks. Waleriana Meysztowicza pt. „Katolicyzm polski", a w Nr 9/193 ŻYCIA z dn. 4. 3. 51 umieszczono w dziale „Dyskusje" artykuł p. Jana Helcmana pt. „Polski katolicyzm".

Sądzę, Panie Redaktorze, że każdy autor, drukujący w ŻYCIU i nie tylko w ŻYCIU swoje artykuły, z góry może, a nawet powinien przypuszczać, że nie wszyscy czytelnicy przyjmą bez zastrzeżeń i w całości wszystkie poglądy i twierdzenia, w artykułach jego zawarte i wyrażone, że poglądy te mogą być poddane dyskusji, a więc mogą być przez czytelników kwestionowane, krytykowane i zwalczane. Autorzy mają jednak niezaprzeczone prawo spodziewać się po redakcji pisma i dyskutujących, że dyskusja toczyć się będzie na poziomie godnym pisma, redakcji, czytelników, dyskutantów i wreszcie autora. Słowem, autorzy muszą mieć pewność, że dyskusja, skoro będzie, odbywać się będzie po gentlemańsku.

Ks. Meysztowicz, pisząc swój artykuł pt. „Katolicyzm polski", jak również pisząc inne swoje prace i artykuły, zapewne wyraża w nich swoje poglądy, ujmując poruszane przez siebie tematy ze swojego punktu widzenia, mając po temu swoje racje i powody, i ważąc swoje twierdzenia na podstawie swoich przemyśleń, doświadczeń i zdobytej wiedzy. Dopuszczam, że w ciągu swej długiej pisarskiej działalności ks. Meysztowicz w niejednym mógł się nawet pomylić. Jestem przekonany, że nie pretenduje on napewno do daru i przywileju nieomylności. Jest rzeczą naturalną, że tak jak nad każdym artykułem, drukowanym w ŻYCIU, tak i nad artykułem ks. Meysztowicza można dyskutować, ale, Panie Redaktorze, dyskusja ta powinna była być utrzymana, jeśli już nie w dobrym tonie, to przynajmniej na jakimś dopuszczalnym poziomie.

Nie wiem, kim jest pan Jan Helcman, mający inne niż ks. Meysztowicz poglądy i zapatrywania na polski katolicyzm. Domyślam się z jego własnych wypowiedzi, że jest on katolikiem od jakichś sześciu czy siedmiu lat, sam bowiem pisze, że jego „powrót na łono Kościoła katolickiego nastąpił dopiero pod koniec wojny, na wygnaniu w Anglii". Wiem natomiast dobrze kim jest ks. Walerian Meysztowicz, a więc, że jest on katolickim polskim kapłanem, jest naukowcem, prawnikiem, historykiem, profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, radcą kanonicznym przy Ambasadzie R. P. w Watykanie (wyznaczonym na to stanowisko za zgodą Episkopatu Polski jeszcze przed wojną), jest autorem licznych i cennych prac, w końcu zaś jest on prałatem domowym Jego Świątobliwości.

Z tym wszystkim, tj. ze swoimi naukowymi stopniami, pracami i stanowiskami, jak również ze swoją prałaturą papieską, ks. Meysztowicz może w swoich artykułach się pomylić, może mieć swoją tylko rację takiego czy innego naświetlania poruszanych zagadnień, wolno więc z nim nie zgadzać się i wolno z nim dyskutować ile się tylko podoba, ale nie j a k się podoba. Nie wolno bowiem, moim skromnym zdaniem, w stosunku do ks. Meysztowicza, tak jak zresztą wobec każdego innego autora, używać niczym nieusprawiedliwionego agresywnego tonu, przede wszystkim zaś nie wolno używać obrażliwych i rażących zwrotów. A więc nie należy, bo to po prostu nie wypada pisać np. tak: „Stwierdzenie X. W. M., że nasz głos,... nigdy nie zamącił harmonii Jednego, Świętego, Apostolskiego, Katolickiego Kościoła, jest co najmniej zagalopowaniem się ...jeśli nie rozminięciem się z prawdą historyczną...", niejeden bowiem czytelnik łacnie może zrozumieć powyższe zdanie w ten sposób, że ks. Meysztowicz, glo-

(Dokończenie na str. 4)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

PRASA WŁOSKA O MISJI PRYMASA POLSKI

„Giornale d'Italia" w artykule pt. „Misja Msgr Wyszyńskiego" stwierdza, że w żadnym wypadku spekulacja sowiecka, mająca na celu imperialistyczne zakusy, nie występuje tak jaskrawie jak w wypadku polskim. Wiadomo, że Prymas Polski od lat pragnął przyjechać ad limina do Rzymu. Reżym odmawiał mu wizy. Co się stało, że nagle na tę podróż pozwolono?

Podpisane w kwietniu 1950 r. porozumienie Episkopatu z reżymem warszawskim nie mogło przesądzać prawnej organizacji pięciu nowych zachodnich diecezji, zastrzeżonej Stolicy św. Kiedy w styczniu br. Moskwa doprowadziła do wiadomej umowy granicznej między Warszawą a komunistycznym rządem wschodnich Niemiec, polscy komuniści zapragnęli kościelnej aprobaty dla tej umowy. Nadzwyczajna organizacyjna siła Kościoła zapobiegła schiźmie, poddając nowych wikariuszów generalnych władzy Prymasa. W ten sposób, przynajmniej formalnie, gra polityków reżymowych została udaremniona.

Reżym nie dał jednak za wygraną i zażądał od Prymasa, niczym od nowego Atyliusza Regulusa, wysłanego przez sowiecką Kartaginę do Rzymu, definitywnych pertraktacji z Rzymem. Wolał to niż otwartą walkę z Kościołem w Polsce. Celem właściwym Kremla nie było jednak uzyskanie zatwierdzeń terytorialnych, zresztą dyplomatycznie niepewnych, gdyż Kreml wie, że Stolica Apostolska ze względów kanonicznych w obecnej sytuacji tego czynić nie może. Moskwie chodziło o coś innego. Moskwa chciała osłabić i zdyskredytować przedstawicieli Kościoła katolickiego, w których wszyscy Polacy widzą ostatnich strażników odwiecznych tradycji narodowych i jedynych obrońców wygasłej wolności. Postęp Kremla jest i w tym wypadku tej samej natury, co na przykład w Azji: rozdmuchuje nacjonalizm i rzekomą niepodległość, podczas gdy właściwym jego celem jest wynarodowienie i niewola.

Potępienie nowych wysiedleń. Masowe wysiedlenia ludności, nakazane przez Kreml w związku z przesunięciem granicy w Małopolsce Wschodniej, nie uszły uwagi prasy katolickiej. Londyński „Catholic Herald" stwierdza, że dwie diecezje katolickie będą dotknięte tymi zmianami. Tysiące katolików, obrządku łacińskiego lub greckiego, będą musiały opuścić swe domy i kościoły. „Universe" zauważa, że przymusowe masowe wędrówki ludności są od wielu lat charakterystyczną cechą panowania rosyjskiego. Bardzo trafne uwagi zamieścił irlandzki „Standard". — Stwierdziwszy, że nawet sejm warszawski nie był uprzedzony o mających nastąpić zmianach, tygodnik pisze: „Przez takie jednostronne i dowolne decyzje Rosja osłabia obecną linię rozbioru Polski. To jest jedyny dobry wynik tych nowych aneksyj sowieckich. Mocarstwa zachodnie, które w haniebnym i katastrofalnym układzie jałtańskim pomogły do pozbawienia sojusznika połowy terytorium, powinny teraz oświadczyć, że ani obecne zmiany ani poprzedni rozbiór Polski nie mogą być utrzymane. Wolni Polacy będą się domagać przywrócenia granicy, ustalonej Traktatem Ryskim z r. 1921.".

Warto dodać, że ta nowa aneksja sowiecka wykazuje, jak słuszna jest decyzja Stolicy Apostolskiej, by nie uznawać żadnych nowych przesunięć terytorialnych aż do chwili formalnego podpisania i ratyfikowania traktatów pokojowych. Stalin może nakazać jeszcze kilka razy zmianę granic i za każdym razem będą się odbywać brutalne, masowe wysiedlenia ludności, wypędzanie kapłanów i zamykanie kościołów. Watykan nie może się dostosowywać do kaprysów czerwonego tyrana, nie może zmieniać granic diecezyj zależnie od posunięć Kremla.

Nowy Biskup Częstochowski. Ks. biskup Zdzisław Goliński, dotychczasowy Biskup tyt. Emerii, o którego nominacji „Osservatore Romano" donosiło w nrze z dn. 8 bm., liczy 43 lata życia. Urodzony w Urzędowie, diecezji lubelskiej 27. 12. 1908 r., wyświęcony w r. 1931, desygnowany na stanowisko biskupa sufragana lubelskiego w r. 1947, otrzymał w tymże roku sakrę biskupią. Studia odbył częściowo w Rzymie; był profesorem teologii moralnej Katolickiego Uniwerstytetu Lubelskiego.

Pamiętamy, że diecezję częstochowską miał objąć w lecie roku zeszłego Generał Zgromadzenia OO. Pallotynów, ks. Wojciech Turowski, którego reżym nie dopuścił do tego stanowiska i zmusił do wyjazdu z kraju.

Zdrowie ks. kardynała Sapiehy. Stan zdrowia Księcia Kardynała pozostaje właściwie bez zmian. Lekarze żądają absolutnego spokoju i kładą nacisk na konieczność unikania wszelkich wysiłków.

O ROKU 1920

TOM TRZECI „NIEPODLEGŁOŚCI"*)

OSAMOTNIENIE Polski w przełomowych okresach i wypadkach historycznych stało się jak gdyby tradycją na przestrzeni ostatnich 150 lat. Osamotnienie to towarzyszyło Polsce w r. 1920, a powtórzyło się w r. 1939. Pomimo to Polska w obu wypadkach walczyła nie tylko o swoją sprawę, ale bez przesady można to powiedzieć — o sprawę i losy świata.

Świeżo wydany tom trzeci „Niepodległości" poświęcony jest prawie w całości rokowi 1920. Dział rozpraw otwiera wyjątek z książki Piłsudskiego o tym roku, charakteryzujący bodaj najzwięźlej znaczenie wojny polsko-bolszewickiej dla nas i dla świata. „Wiem dobrze — pisze Piłsudski — że wielu z tych, co nad tym samym problemem, co ja, głowę sobie łamało, szukając metod dla dania nam zwycięstwa i nie dając sobie z tym problemem rady, opuściło w bezsilności ręce i dawno orzekło, że zwycięstwo było istotnie, lecz tylko dlatego, że nie była to wojna istotna. Jakaś półwojna lub nawet jej ćwiarteczka; jakieś dziecinne szamotanie się i bijatyki, dla których wielka teoria wojny zamyka pogardliwie swe podwoje. Nie chcę przeczyć. Chcę tylko dodać, że ta bijatyka wstrząsnęła losami dwóch państw liczących razem 150 milionów ludzi. Chcę powiedzieć, że ta wojna czy bijatyka omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata i że jej kryzysy były kryzysami milionów i milionów istot ludzkich a dzieło zwycięstwa na czas, daj Boże, dłuższy, stworzyło podstawy już dziejowe dla obu państw walczących. Niech więc będzie bijatyka, gdy metody i doktryny dla niej znaleźć nie podobna".

W krótkim, nazbyt krótkim i szkicowym artykule Michał Sokolnicki omawia „Znaczenie historyczne bitwy o Warszawę". Artykuł wprowadza do rozważań wszystkie ważne elementy ówczesnej sytuacji międzynarodowej i traktuje przedmiot porównawczo i w nawiązaniu do r. 1939 i chwili obecnej. Autor robi to z właściwą mu maestrią, lecz szkicowo, gdy właśnie sposób potraktowania tematu nadawałby się do pełniejszego rozwinięcia i miałby aktualne znaczenie polityczne. Sokolnicki słusznie uważa, że „kampania Piłsudskiego w 1919-20 była tedy precedensem i pierwszym etapem w walce Zachodu z zaborczym despotyzmem Rosji. Walka ta rozszerzyła się odtąd na świat cały, a jej front posunął się daleko na zachód wzdłuż fałszywych i sztucznie wytyczonych granic... Problemat wojny Piłsudskiego między despotyzmem a wolnością narodów, między panowaniem prawa a barbarzyństwem pogłębił się jeszcze i rozszerzył. Sprawa obrony cywilizacji rozpostarła się na inne kraje, narody, lądy. Rzecz ciążąca dzisiaj na dziejowej szali — to przyszłość człowieka. Zwycięstwo 1920 roku (...) staje się w perspektywie dziejowej drogowskazem".

Na drugim miejscu postawiłbym wspomnienie czy relację niedawno zmarłego gen. T. Piskora pt. „Myśl manewru znad Wieprza". Autor omawia trzy różne plany „bitwy warszawskiej", których autorami byli gen. Rozwadowski, gen. Weygand i marszałek Piłsudski. Plan Piłsudskiego został zrealizowany wbrew radom Weyganda i przy poparciu gen. Rozwadowskiego. I gdy Naczelny Wódz „w kilka tygodni potem odniósł druzgocące zwycięstwo nad armiami bolszewickimi, starano się zrobić je bezosobowym, po prostu „cudem nad Wisłą". choć w istocie swej rozstrzygające uderzenie wyszło znad Wieprza, a nie znad Wisły".

Bardzo ciekawe wspomnienia o r. 1920 ogłasza Redakcja „z papierów pośmiertnych" gen. L. Żeligowskiego. Autor uważa, że „wadą naszej historii wojennej jest to, że ciągle kogokolwiek musi chwalić. Nie mamy niezależnej myśli historycznej. Powstały jakby dwie szkoły: za Piłsudskim i przeciwko niemu. I wtedy, kiedy ten drugi prąd wymaga pomocy, zwraca się do Weyganda i na nim się opiera". W wyniku nie możemy znaleźć prawdy i nie możemy pokonać własnych omyłek. Gen. Żeligowski uważa, że plan Piłsudskiego, oparty na zasadzie obrony Warszawy i atakowania z nad Wieprza, był dobry. „Była to wielka, bo prosta myśl. Odpowiadała na wszystkie możliwości strategiczne". Autor uważa, że obrona Radzymina przez niego i jego wojska umożliwiła wykonanie manewru ofensywnego znad Wieprza wbrew politykom chcącym usunąć Naczelnego Wodza i wbrew politykującym generałom, mającym inne plany. Z właściwym sobie wdziękiem prostoty i zdrowego rozumu gen. Żeligowski opowiada swą wyprawę na Wilno, jako „powrót do domu" dla wyrzucenia „przybyszów" niepowołanych. Zaznacza, że akcję swą prowadził nie jako „generał polski Żeligowski, ale Litwin Żeligowski, ten, który będąc małym chłopcem przychodził z Żupran do Wilna na egzamin szkolny i nocował na ławkach miejskich ogrodów". I dodaje: „Będąc Litwinem nigdy nie przestałem być Polakiem... zajęcie Wilna było stawką na polityczną dojrzałość narodów W. Ks. Litewskiego i na dojrzałość opinii politycznej polskiej. Dziś wiemy, że to wszystko zawiodło. Rozumowaliśmy wszyscy kategoriami romantyzmu litewskiego. Dziś to co mówię i czuję — czują niemal wszyscy mieszkańcy W. Ks. Litewskiego".

Wartościowe rozprawy dają: T. Schaetzel „Prace J. Piłsudskiego w latach 1892 - 1901" i St. Biegański „Piłsudski i Lenin o ruchach rewolucyjnych i narodowych". Źródłowa rozprawa Biegańskiego nie jest dość przejrzysta, ale jej wartość stanowi samodzielność. Nie można tego powiedzieć o pracy p. Wacława Jędrzejewicza pt. „Rokowania borysowskie w r. 1920". Już sam tytuł jest bałamutny. Żadnych rokowań borysowskich nie było, bo nie doszły do skutku. Stylem nieporadnym i bez jasnej myśli autor opowiada historię tych niedoszłych rokowań, nie wydobywając w całości istotnych motywów ich nieodbycia się. A szkoda, były one bowiem wielkim manewrem politycznym do dziś dnia niezrozumiałym dla wielu nawet polityków europejskich.

Przeciwieństwem tej rozprawy jest świetna z werwą i humorem napisana gawęda gen. Sławoja Składkowskiego pt. „Łapiduchy 1920 r.". Autor od dawna ma ustaloną reputację pisarską, w tej zaś gawędzie dowiódł, że umie być również źródłowy, dając nie tylko wspomnienie, lecz i poważną informację. Tom trzeci zawiera ponadto: śp. Feliksa Liberta, utalentowanego a przedwcześnie zmarłego historyka, odczyt z papierów pośmiertnych pt. „Nowy cel wojny", El Muemnina Bajraszewskiego „Udział Tatarów polskich w walkach 1920 r." i gen. Wł. Bortnowskiego „Osłona Bugu".

Wartościowy tom trzeci „Niepodległości" zdobi facsimile listu marszałka Piłsudskiego do p. Aleksandry Piłsudskiej z frontu w r. 1920.

Gdybym miał wyrazić żal z powodu tego, czego nie ma w tym tomie, a co byłoby znakomitym jego uzupełnieniem to wskazałbym na konieczność rozprawy o projektach federacyjnych Piłsudskiego na obszarze Europy Wschodniej. Jego koncepcja polityczna urządzenia tego obszaru łączyła się z celami prowadzonej wojny, która służyła tylko planom politycznym. — utrwalenia niepodległości Polski, wyzwolenia narodów ukraińskiego, litewskiego i białoruskiego i odsunięcia Rosji do jej właściwych granic.

W. P.

*) „Niepodległość", czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski, wydaje Instytut Józefa Piłsudskiego, Oddział w Londynie, 1951. Str. 166.

Z TEATRU

ACHARD I BUS-FEKETE

W roku 1939 paryskie wznowienie sztuki „Jean de la lune" M. Acharda, uznanej już od dawna za najlepszy, obok „Domina", utwór tego autora i za pozycję klasyczną komedii francuskiej — stało się wydarzeniem teatralnym dużej miary. Rolę tytułową po wielkim Jouvet objął wtedy Maurel, postać Marceliny kreowała Danielle Darrieux. Dzięki pięknemu zwyczajowi czasopisma „L'Ilustration" zamieszczania głosów znakomitych krytyków po każdej wybitniejszej premierze, można jeszcze dziś z łatwością zapoznać się z opiniami takich sław literatury i krytyki francuskiej jak Fortunat Strowski, Maurice Rostand lub Albert Savoir. Zajęcie to tym ciekawsze, że daje miarę porównawczą, pozwalając spojrzeć — poprzez źródła i wzory — na naszą emigracyjną krytykę.

Rodowody osób występujących w „Jasiu z księżyca" wywodzi Rostand z włoskiej komedii dell'arte: Jef — to przecież Pierrot Marcelina jest Colombiną, Clo-Clo — to typowy Brighella. Strowski, zajmując się szerzej postacią Marceliny, widzi w niej nowoczesną wersję Manon lub „Awanturnicy" Augiera. Dla niego Jef — to trochę Cadet Roussel ze słynnej piosenki, trochę brat Jakuba z szekspirowskiego „As you like it", a przede wszystkim znów Pierrot — brat poetów; stąd cała sztuka jest tryumfem poezji.

Trwała wartość dzieła Acharda leży, zdaniem krytyków francuskich, którego nie sposób nie podzielać, w „dotarciu poprzez komizm do istoty rzeczy" („**trouvaille par la comique**"). W „Jean de la lune" urocze szczebiotanie łączy się z dramatem psychologicznym i doprowadza nas — ścieżkami odwiecznego, cerwantesowskiego kontrastu rubasznego realizmu i poezji — do zwycięstwa czułości bez egoizmu, kochania bez zazdrości, jasnowidzenia bez goryczy. Savoir podkreśla szczególnie finezyjne postawienie przez Acharda postaci tytułowej. Głupiec, czy mędrzec? Nie widzi, że żona zdradza go nałogowo, czy też wie i leczy ją z neurozy dobrocią i wybaczeniem? Niedwuznacznie jednak pokazuje francuski autor tryumf metody, czy też szaleństwa Jasia: niewierna Marcelina powraca na drogę cnoty.

Niepewność co do wnętrza Jefa, boska tajemniczość duszy ludzkiej znalazła pewny wyraz we wspaniałej kreacji Joveta w prapremierze francuskiej (1929). Nie potrafię przypomnieć sobie jak rolę tę potraktował A. Węgierko w Teatrze Małym w Warszawie w latach trzydziestych. Wojciech Wojtecki poszedł — intuicyjnie, a może po naradzie z kulturalną tłumaczką — za francuskim prawzorem. Stworzył postać sceniczną w skali europejskiej.

Niestety, reszta obsady w Teatrze Aktora nie dorównała Mistrzowi, choć Orchoń był ciekawy i oryginalny w roli Clo-Clo. Nie wiem, czy znał swego paryskiego poprzednika — grubasa Michel Simon, który w r. 1929 zrobił Clotaire'a na bezdennie głupiego poczciwca. W wydaniu pana Orchonia mamy świadomego, bardzo paryskiego **vaurien**, co wydaje się bardziej prawdopodobne i bodaj słuszniejsze. P. W. Mirecki jako zdradzony amant Ryszard był raczej blady, a p. B. Ostrowska w roli Marceliny — drewniana. Nie spostrzegłem w niej ani cienia Manon w nowoczesnym wydaniu. Panna A. Korczak ma jeszcze długą drogę do pokojówek francuskich, które są wcale nie łatwe do kulturalnego zagrania.

Słów parę należy się tłumaczce, a raczej autorce adaptacji polskiej „Jasia z księżyca". Zadanie jej było trudne. Ze sztuki siedmioosobowej stworzyła komedię pięcioosobową, umożliwiając w ten sposób jej wystawienie przez teatr objazdowy. P. zeobrażając trzy subretki w jedną, p. O. Żeromska wypaczyła nieco intencje autora, gdyż jej pokojówka stała się po trosze rezonerką sztuki. Sam przekład nosi cechy pośpiesznej roboty, acz w partiach lirycznych i poetyckich jest więcej niż bezbłędny i świadczy o delikatnej, kobiecej ręce. Mam za złe zdolnej tłumaczce, znanej fachowcom ze świetnych przekładów Anouilh'a, że zbyt silnie stuszowała język Clo-Clo i Ryszarda w kierunku bladych eufemizmów. Achard świadomie skontrastował brutalny, miejscami aż trywialny żargon paryski z nurtem poetyckim swej sztuki; kontrast ten nie został w pełni wydobyty w przekładzie. Dekoracje p. T. Orłowicza — może wskutek ubóstwa teatru — nie dały atmosfery uroczego poetyckiego szczebiotu, o którym pisał Strowski. Reżyseria słaba.

„Jana" Bus-Feketego przemianował Wojtecki na „Politykę i miłość", czego nie biorę mu za złe, przypomniawszy sobie, że w Paryżu tę samą sztukę nazwano — nie bez powodu — „Ruy Blas 36" (kto nie pamięta lub nie wie, niech sobie w Larousse'ie zobaczy, że Ruy Blas jest szlachetnym romantycznym lokajem, bohaterem dramatu Wiktora Hugo). Poczciwego „Jana" uznano w Paryżu w roku 1938 za komedię zbyt błahą, aby ją dawać na surowo. „Theatre de l'Humour" podał go ze smacznym, bardzo francuskim **„hors d'oeuvre'em"** dowcipnego prologu, w którym można było oglądać trójcę słynnych służących: Ruy Blasa, Figaro i arcypokojówkę Lisette (ze sztuki Regnarda).

O nowym (wówczas) bohaterze i koledze po fachu mówił Ruy Blas to samo, co o sobie: **„un coeur noble et loyal qui bat sous la livrée"**. Takim właśnie jest Wojciech Wojtecki — najbardziej, a może jedynie arystokratyczna postać w polskim, nienajlepiej aktorsko obsadzonym spektaklu londyńskim A. D. 1951. Wzmianka o kiepskiej obsadzie nie stosuje się jednak do pp. Butscherów. Pani Jadwiga — choć w pierwszym akcie nie dość hrabiowska — grała z sercem, bardzo ciepło i z dobrą techniką aktorską (doskonała ekspresja ruchów). Małżonek jej był zacnym odpowiednikiem Jana z tytułem rodowym i państwowym. Oboje zbierali oklaski przy otwartej kurtynie. Pan W. Mirecki, dobrze ubrany i ucharakteryzowany, grał znacznie lepiej niż w poprzedniej sztuce. Panna B. Ostrowska była cokolwiek lepsza niż w roli Marceliny w „Jasiu z księżyca", choć wszystkie jej kwestie, mówione jednym tonem i w jednakowy sposób, przy zupełnej nieumiejętności poruszania się na scenie, zmęczyły mnie bardzo. Rólkę reporterki radiowej zagrała poprawnie p. H. Szeliga.

W sumie, emigracyjny „Jan" wypadł interesująco: Wojtecki nie ustępował poprzednim polskim Törökom (nie wiadomo dlaczego zmieniono nazwisko budapeszteńskiego lokaja na Terek?), wśród których Żabczyński był najpopularniejszy dzięki swej kreacji warszawskiej. Dla ścisłości warto dodać, że Wojtecki grał już Jana przed wojną (bodajże we Lwowie), budząc — jak i teraz — zachwyty krytyków i widowni. Wielka szkoda, że Teatr Aktora nie mógł się zdobyć na reżysera, bo łączenie funkcji dyrektora, głównego aktora i reżysera w jednej osobie przekracza siły nawet tak wybitnego artysty jak Wojtecki. Dekoracje p. J. Smosarskiego „biedne, lecz uczciwe".

Dwie ostatnie pozycje Teatru Aktora należy zapisać — mimo wszystkich wad — na rachunek zasług Wojteckiego, świadomie i konsekwentnie podnoszącego poziom.

St. Pałęcki

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Poezje św. Jana od Krzyża. W doskonałym przekładzie angielskim Roy Campbella, z podanym obok tekstem hiszpańskim, ukazały się poezje mistyka hiszpańskiego z 16 wieku, św. Jana od Krzyża („The Poems of St. John of the Cross", The Harvill Press, cena 12/6). Przedmowę napisał znakomity angielski pisarz katolicki, ks. M. C. D'Arcy.

Dwie powieści o Polakach. Po powieści Angielki Daphne Slee „The Great Hunter" (Peter Davies, cena 9/6), której treścią są dzieje lotnika polskiego, Jana Matyjasika, przyszła obecnie nowa powieść o Polakach pt „The Proud Lady". (Collins, cena 10/6. Autorką jej jest tym razem Australijka, Helen Heney, urodzona w Sydney w r. 1907. Po studiach uniwersyteckich w Sydney i w Anglii udała się ona w r. 1930 na kontynent europejski i spędziła kilka lat w Polsce w charakterze nauczycielki i tłumaczki. W czasie wojny pracowała w Australii w Czerwonym Krzyżu, a po wojnie znalazła się znów w Europie jako urzędniczka UNRRA; na tym stanowisku zetknęła się z polskimi „dipisami".

Wróciła potem do Sydney, gdzie oddaje się pracy pisarskiej. Sama pochodzi z rodziny literackiej: ojciec jej był dziennikarzem, a siostra jest także powieściopisarką. „The Proud Lady" ukazała się najpierw w Australii. Powieść ta opisuje życie Polki, Janiny Czarnowskiej, w latach 1885 — 1939; nacechowana jest gorącą sympatią dla Polski.

Wspomnienia Paula Supera. Pod tytułem „25 Years with the Poles" ukazały się w Stanach Zjednoczonych wspomnienia Paula Supera, wielkiego przyjaciela Polski, zmarłego w marcu 1949 r. Super pochodził z Cincinnati, w stanie Ohio. Jako młody człowiek zaczął pracować w YMCA, gdzie zdobył sobie poważne stanowisko. Mając lat 42, w r. 1922, wysłany został przez tę organizację do Polski i spędził w naszym kraju kilkanaście lat. Później, w czasie wojny, pracował w dalszym ciągu niezmordowanie dla sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych, w czym dzielnie pomagała mu żona. Spod pióra jego wyszła m. in. znana książka „The Polish Tradition", najlepsza bodaj rzecz o Polakach, napisana przez cudzoziemca. Uderza w niej m. in. zrozumienie istoty katolicyzmu polskiego.

Wspomnienia Supera ukazały się nakładem „Paul Super Memorial Fund". Cena w Wielkiej Brytanii wynosi 22/6.

Najbardziej paryski z pisarzy. W związku z obchodzonym obecnie 2000-leciem miasta Paryża, felietonista „Figaro Littéraire" André Billy zastanawia się nad tym, który z pisarzy francuskich najlepiej wyrażał ducha Paryża i zasługuje z tego względu na specjalne uczczenie w obecnej chwili.

Lista pisarzy, którzy ujrzeli światło dzienne w Paryżu, jest bardzo długa; obejmuje ona nazwiska takie jak Villon, Molier, Scarron, Boileau, Charles Perrault, Regnard, Wolter, Beaumarchais, Crébillon, Marivaux, Sedaine, Sénancour. Madame de Staël, Béranger, Mérimée, Musset, Nerval, Michelet, Baudelaire, Tocqueville, Banville, Littré, Prévost-Paradol, Coppé, Sully Prudhomme, Mallarmé i wiele innych. Spośród tych pisarzy Billy dość niespodziewanie wyróżnia jako najwybitniejszego wyraziciela ducha Paryża Baudelaire'a. Dodaje jednak, że „nie cała dusza Paryża jest w Baudelairze". Trzeba by obok niego wymienić Villona, Woltera, Beaumarchais i Musseta.

V A R I A

Ksiądz F. Ducaud-Bourget. W zbiorowej książce zatytułowanej „Claudel Mauriac et Cie" znajduje się studium księdza Ducaud-Bourgeta o Claudelu. Nigdy jeszcze ten znakomity poeta katolicki nie był zaatakowany tak gwałtownie i to nie z punktu widzenia literackiego, lecz czysto religijnego. Ks. Ducaud-Bourget mówi o „galimatiasie" w twórczości „tego biednego Claudela" i nawet odkrywa w pismach autora „Otage" herezje!

Określenie snobizmu. W listach czytelników do dzienników angielskich nieraz zabierają głos ludzie dowcipni. Kilka dni temu „The Evening Standard" ogłosił list, w którym ktoś zaproponował własną definicję snobizmu. Dotychczasowe definicje i potoczne używanie słowa „snobizm" w różnych znaczeniach nawet w druku skłoniło owego korespondenta do zastanowienia się nad snobizmem i wreszcie zaproponował takie określenie, jako najodpowiedniejsze: „Snobem jest człowiek, który pracuje dłużej, niż powinien". Trzeba przyznać, że definicja jest oryginalna.

Maria Walewska. Po raz pierwszy ukazała się ta książka o Marii Walewskiej zaraz po pierwszej wojnie światowej. Napisał ją „modny" wówczas historyk czasów napoleońskich, Octave Aubry. Podczas drugiej wojny światowej Aubry wszedł do Akademii Francuskiej. „Marie Walewska" nie jest „żywotem opowiedzianym powieściowo". Jest to po prostu monografia, czyli książka ściśle udokumentowana, a przez to nie wprowadzająca czytelnika w „świat fantazji", czyli dowolności autorskiej. „Vie romancée" dlatego jest rodzajem literackim dla poważnego czytelnika nieznośnym, że jest gatunkiem, powiedzmy, „połowicznym".

KSIĄŻKI WŁASNE I NADESŁANE

Kardynał August Hlond: NA STRAŻY SUMIENIA ZACHODU. Wybór pism i przemówień z przedmową Prof. dra Oskara Haleckiego. Don Bosco, Ramsey, N. J. (Stany Zjednocz.), 1951. Str. 328 tekstu i 16 ilustracji. Twarda okładka ze złoceniami, ilustrowana obwoluta. Dochód ze sprzedaży książki przeznaczony na bursy uczniowskie (scholarships) im. Kard. A. Hlonda.

Pięknie wydana książka, zawierająca najważniejsze przemówienia i pisma wielkiego Księcia Kościoła. Do nabycia w Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas".

Włodzimierz Dołęga: OBECNOŚĆ WNIEBOWZIĘCIA W POLSCE. Szkice z polskiej kultury religijnej. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Londyn, 1951. Stron 160 i ilustracje.

Książce tej, która stanowi jedną z najwybitniejszych pozycji literatury polskiej ostatnich lat, poświęcimy obszerniejszą recenzję.

SAMODZIELNA BRYGADA STRZELCÓW KARPACKICH. W dziesięciolecie jej powstania. Zbiorowa praca historyczna i literacka żołnierzy S. B. S. K. Londyn, 1951. Nakładem Związku b. żołnierzy SBSK. Str. 280 tekstu i LVI ilustracji. Dwubarwna obwoluta. Druk Veritas Foundation Press.

Książka składa się z następujących części: Urywki z Pamiętnika Gen. St. Kopańskiego, Część historyczno-dokumentarna, Część literacka i opisowa, Poezja i pieśni oraz Album zdjęć i szkiców.

Jan Olechowski: CHWILA NOCNA. Poezje 1945 — 1950. Oficyna Poetów i Malarzy. Okładka i rysunki Zygmunta Turkiewicza. Londyn 1950. Stron 48, quarto. Odbito 315 egz. numerowanych.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

NOWE WYSTAWY W LONDYNIE

Otwartych znów zostało parę nowych interesujących wystaw malarstwa francuskiego z XIX i początków XX wieku.

Jedna z nich odbywa się w Lefèrre Gallery (30, Bruton Str., W. 1), druga w Marlborough Gallery (Old Bond Street, W. 1). Obie zawierają po kilka doskonałych obrazów Gauguina, Cézanne'a, Degasa i innych mistrzów francuskich.

W galerii Gimpel Fils (50, South Molton Street, W. 1) wystawione są nowe obrazy i gobeliny młodego, zdolnego artysty Louis le Brocquy.

W Park House (Rutland Gate, Knighsbridge, S. W. 7) otwarta jest wystawa kilku dobrych płócien Rubensa i Velasqueza. Dostępna dla publiczności codziennie od 10 — 6, w soboty od 10 — 3.

W Royal Academy (Piccadilly, W. 1) odbywa się nadal letnia wystawa obrazów. Wstęp 2 s.

Obrazy słynnego poety i malarza Williama Blake'a oglądać można w Arts Council Gallery (4, St. James Square, S. W. 1). Wystawa, którą zorganizowała Arts Council łącznie z William Blake Trust, otwarta jest do 21 lipca — w poniedziałki, środy, piątki i soboty od 10 — 6, a we wtorki i czwartki od 10 — 8. Wstęp wolny.

WIELKI KONKURS MUZYCZNY

Począwszy od 18 czerwca przez cały tydzień odbywać się będzie w ramach Festiwalu Brytyjskiego ogólnokrajowy konkurs muzyczny (National Competitive Music Festival), zorganizowany przez Arts Council. Weźmie w nim udział 7 tys. „finalistów" z szesnastu okręgów całego kraju. Koncerty konkursowe odbywać się będą w Royal Festival Hall, Central Hall, Wigmore Hall i Kingsway Hall. Wstęp na każdy koncert 2/6, jedynie tylko na koncerty w Royal Festival Hall 10/-., lub nawet 12/6, ale łącznie już z prawem zwiedzenia wystawy. Program konkursu kosztuje 2/2.

ROSARIO i ANTONIO W LONDYNIE

Po raz pierwszy zawitała do Londynu słynna para tancerzy hiszpańskich: Rosario (kobieta) i Antonio. Występują oni w Cambridge Theatre codziennie o godz. 7.30 w. (w soboty o 2.30) do dn. 7 lipca włącznie. Wykonywają wspólnie lub z osobna różne tańce hiszpańskie w sposób, który wzbudził entuzjazm nie tylko wśród publiczności, ale i wśród krytyków londyńskich.

„PRISONER OF PEACE"

Przedstawienia propolskiej sztuki „Prisoner o Peace" Reith Coote, granej w klubie teatralnym „Gateway Theatre", dobiegły końca. Sztuka miała spory sukces, czego dowodem przedłużenie okresu jej wystawiania o tydzień, co w tym małym teatrzyku jest rzeczą raczej rzadką.

„DYKTATOR" PÓŁNOCNEJ RODEZJI

„Observer" z dnia 17 czerwca poświęca swój tygodniowy „profil" tej niezwykłej postaci, jaką stanowi Roy Welensky, faktyczny rządca Północnej Rodezji. Dowiadujemy się, że ojciec Welenskiego był imigrantem polskim, pochodzenia na poły żydowskiego, który w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia przebył piechotą kilkaset mil z Kraju Przylądkowego do Rodezji, ze strzelbą jako jedynym swym dobytkiem. Syn jego, Roy, urodzony w r. 1907, był kolejno magazynierem w kopalni, barmanem, bokserem, wreszcie kolejarzem i maszynistą lokomotyw. Na tym stanowisku został przywódcą związku zawodowego kolejarzy i wszedł w życie polityczne i społeczne.

Dzisiaj formalnie pełni funkcję „przewodniczącego wybranych członków" („Chairman of the elected members") w Zgromadzeniu Ustawodawczym Północnej Rodezji, faktycznie jest jednak premierem tej autonomicznej kolonii brytyjskiej. W rezultacie londyński Urząd Kolonialny niewiele ma tylko do powiedzenia w sprawach Północnej Rodezji.

Rozważana jest obecnie sprawa stworzenia Federacji Środkowo-Afrykańskiej, której trzon stanowiłyby Rodezja Północna i Południowa. Federacja ta uzyskałaby stanowisko jednego z dominiów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. W toczących się na ten temat rozmowach stanowisko Roya Welenskiego, jako przedstawiciela białych kolonistów Północnej Rodezji, będzie miało niewątpliwie duże znaczenie. Największe trudności sprawi oczywiście kwestia murzyńska. Roy Welensky jest przeciwnikiem przyznania Murzynom pełnych praw politycznych, choć nie idzie w tym tak daleko jak obecny premier Unii Południowo - Afrykańskiej Malan ze swoją „Apartheid".

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 1 lipca 1951.

NA PRZYKŁADZIE GRECJI

Mój znajomy, który od bardzo wielu lat mieszka i pracuje w Grecji, wyjechał na kilka tygodni wakacji. Zahaczył również o Anglię. Spędziłem z nim kilka godzin, słuchając opowieści o kraju jego pracy. Opowieści bardzo niewesołej.

Aby jej szczególną wymowę dokładnie zrozumieć, warto przypomnieć sobie, że Grecja ujęta jest mocno obcęgami komunistycznymi. Z Albanii i Bułgarii komunizmem sowieckim, od strony Jugosławii komunizmem Tita. Drobnym tylko skrawkiem sąsiaduje z Turcją. która jest jedynym sąsiadem Grecji o ustroju niekomunistycznym. Między innymi, to położenie geograficzne kraju powodowało, iż przez dłuższy czas po wojnie Rosja sowiecka prowadziła w górach i lasach greckich zakrojoną na szeroką skalę wojnę partyzancką, której celem było niewątpliwie zagarnięcie jeszcze i tego kraju bałkańskiego pod dyktat moskiewski.

Dziś otwarta partyzantka została pokonana, ale niebezpieczeństwo komunistyczne bynajmniej nie zniknęło. Wśród biedoty greckiej jest wiele zwerbowanych zwolenników komunizmu, którym przewodzą ukrywający się agenci sowieccy. Sądzę wszakże, po rozmowie z moim znajomym, że to niebezpieczeństwo istnieje nie tylko i nie przede wszystkim dlatego, że w Grecji jest znaczna liczba czynnych komunistów.

Główna przyczyna niebezpieczeństwa tkwi w stosunkach, które panują w tym kraju. Grecja jest krajem biednym. Zawsze nim była. Spalona upałami ziemia mało i trudno rodzi. Wojna i kilkuletnia okupacja niemiecka zrujnowały kraj do reszty. Zrujnowała również te ośrodki organizacji i ładu, które od kilku dziesiatek lat z trudem ustalały się i krzepły.

W chwili obecnej to kraj nie tylko biedny, ale i mocno zdezorganizowany. U dołu — masy skrajnej biedoty, u góry — cieniutka warstewka ludzi zamożnych, polityków, którzy w wiecznych kryzysach grają swoją beznadziejną grę walki o władzę. Co chwilę wybuchają skandale i nadużycia, które, oczywiście, są tępione — ale jakiś specyficzny genius loci powoduje nowe. Z tego, co mi opowiadano, jest to przykład złej organizacji państwowej i społecznej, w pewnym sensie odstraszający przykład ustroju, który musi prowadzić do kryzysów.

Coraz powszechniej zaczyna się wreszcie utrwalać pogląd, iż główną siłą napędową komunizmu, jako siły politycznej, są błędy ustrojów dotychczasowych. Siłę swą czerpie komunizm z nieszczęścia ludzkiego, które nie może znaleźć złagodzenia w ustrojach dotychczasowych. Być może, podnosząc żagiew partyzantki komunistycznej w Grecji, kierownicy tej agresji liczyli nie tyle na dogodne warunki terenowe i na pewną liczbę komunistów wewnątrz kraju, ile przede wszystkim na szczególnie niepomyślne stosunki wewnętrzne, na beznadziejność życia ludzkiego, na szczególnie ostry kontrast społeczny pomiędzy dołami a zasobną i nieliczną górą.

Pamiętamy narodziny koncepcji amerykańskiej, która stała u podstaw „planu Marshalla". Po zakończeniu wojny komunizm dlatego miał się z taką siłą roznosić po Europie, ponieważ społeczeństwa były zrujnowane i głodne. Stąd pomysł — wlania w tereny zagrożone dużej ilości dolarów, które przyniósłszy dobrobyt, usunęłyby oskomy komunistyczne.

Tkwi w tym pomyślne ziarno prawdy, ale zagadnienie polega na dokładnym jej określeniu. Pomysłem amerykańskim objęta była, jedna z pierwszych, właśnie Grecja. Posłano jej wiele pieniędzy; płyną one prawdopodobnie nadal. Sprawiono nowoczesną broń, dano pomoc w usunięciu wojny prowadzonej przez komunistów. Mija lat sześć. W sumie, warunki życia nie zmieniają się na lepsze, w dalszym ciągu organizacja społeczno-polityczna jest tego rodzaju, iż stanowi doskonały materiał palny dla wszelkiego rodzaju tendencji przewrotowych. Bieda straszliwa. W całych okolicach panuje głód. W suchszych okresach roku — długie ogonki po kilka litrów wody na rodzinę. Cała młodzież szturmuje konsulaty państw zamorskich i chce emigrować. Stosunki polityczne niewysanowane, w dalszym ciągu akcent działania politycznego położony jest na grę, a nie na sprawy społeczne. Beznadziejność.

Diagnoza amerykańska była słuszna, wykonanie jej niesłychanie powierzchowne. Tego, czego społeczeństwom najbardziej potrzeba, to nie pieniądz. To przede wszystkim polepszenie warunków życia. To rozproszenie nad masami ludzkim nastroju beznadziejności i niepewności, jaki w mniejszym lub większym stopniu zaciąga się nad wieloma krajami świata wolnego. Nie można nie dostrzegać tego, iż owe czady snują się z niedostatków ustrojowych, które zastały się od kilku stuleci i nie mają sił sprostać problemom społecznym i politycznym nowych czasów. Jeśli tedy chciało by się istotnie zasypywać źródła trucizn i niepokojów, należało by łącznie z pieniędzmi i pomocami przynosić sposób reorganizacji ustrojów i ładu wewnętrznego.

Zjawisko powyżej zarysowane jest bardzo szerokie, o wiele szersze, aniżeli się wydaje. To nie chodzi wcale tylko o małą Grecję, kraj szczególnie ubogi i obciążony nawykami politycznymi „kotła bałkańskiego". Wystarczy przejechać się po Europie, zobaczyć Francję, Włochy i przyjrzeć się ich wzorcom politycznym i społecznym. Przecież w tych, i innych krajach odbudowuje się ten sam wzór, który panował dotychczas, a który prowadził do słabości i wewnętrznej niemocy.

I pomyśleć, że dzieje się to wszystko po przejściu drugiej wojny światowej, która powinna była otworzyć oczy na wiele problemów zasadniczych, choć mało widocznych, w obliczu jaskrawo zademonstrowanego niebezpieczeństwa komunistycznego, wobec otwarcia głębokich ran społecznych i poważnych ostrzeżeń o konieczności nastawienia polityki na ich leczenie, a nie na kontynuowanie jej według dawnych bezmyślnych wzorów.

Sprawiedliwość każe powiedzieć, że ze wszystkich większych krajów zachodnio europejskich jedna Wielka Brytania praktycznie przystąpiła do wyciągania wniosków ustrojowych z lekcji, jaką co dopiero świat przeszedł. Stwierdzenie takie dyktuje mi, oczywiście, nie zamiłowanie do przerostów biurokracji socjalistycznej, ale prosta świadomość, iż komunizm z jakichś konkretnych przyczyn wziął się na świecie, jakimiś konkretnymi rezerwami jest zasilany i zwalczony może być nie deklaracją, nie frazesem, nie pozostawieniem rzeczy ich biegowi, ale konkretnym przeciwstawieniem.

Tymczasem stan rzeczy w sprawach politycznych w jednej połowie świata znajduje się w stanie petryfikacji. Grecja jest skrajnym objawem tego zjawiska, ale jest ono szerokie i powszechne, dotyka również i wielkich krajów, które — zdawało by się — powinny być żywotne i silne.

Józef Kisielewski

CHRYSTUSOWCY OTWORZYLI NOWICJAT

W r. 1932 kard. A. Hlond założył Towarzystwo Chrystusowe, którego przeznaczeniem miała być praca duszpasterska wśród Polaków żyjących na emigracji. Obecnie Towarzystwo wznawia swą działalność i za zgodą biskupa Viktora Perrin, ordynariusza diecezji Arras, otworzyło w Hesdigneul we Francji nowicjat, w którym przygotowywać się będą kapłani, klerycy i bracia zakonni. Kandydaci do stanu kapłańskiego odbywają jednoroczny nowicjat, który kończy się złożeniem ślubów zakonnych ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Następnie udają się na studia filozoficzne i teologiczne w Seminarium polskim w Paryżu. Bracia zakonni odbywają jednoroczną aspiranturę i jednoroczny nowicjat, ucząc się w tym czasie katechizacji dzieci, gry na organach i innych potrzebnych w duszpasterstwie zajęć. Po nowicjacie stają się towarzyszami i pomocnikami duszpasterskiej pracy kapłańskiej.

Adres: Towarzystwo Chrystusowe, Hesdigneul, P. de C., France.

LIST W SPRAWIE „ŻYCIA"

ryfikując katolicyzm polski, posuwa się (w galopie!) aż do fałszowania historii Kościoła w Polsce i w ogóle w świecie, co z całą pewnością nie miało miejsca w artykule ks. Meysztowicza, mimo, że tak twierdzi, czy tylko sugeruje nawet pan Helcman. Wyrażenia w rodzaju: „zagalopowanie się, jeśli nie rozminięcie się z prawdą historyczną" w stosunku do starszego, ogólnie szanowanego i przecież naprawdę zasłużonego katolickiego polskiego kapłana, który ani treścią swojego głębokiego artykułu, ani jego piękną formą w niczym na pewno nie sprowokował dyskusji na tak niedopuszczalnym poziomie, nie są ponadto na miejscu ani ze strony katolika-dyskutanta, choćby on był katolikiem od bardzo niedawna i choćby on był gorliwym konwertytą, ani ze strony katolickiego tygodnika religijno-kulturalnego, który, pomijam już jego obowiązek obrony katolickich kapłanów przed nieusprawiedliwionymi zupełnie napaściami, nie powinien dopuszczać na swoje łamy niczego, co by trąciło złym tonem i brakiem kultury.

Powtarzam: ks. Meysztowicz mógł się pomylić (ja wcale nie twierdzę, że się pomylił!) w swoim artykule, ale to, że on widzi katolicyzm polski w jasnych barwach, to jeszcze nie powód do ataków i napaści już nie tylko na ks. Meysztowicza, lecz na polski katolicyzm w ogóle, a na polskich katolików w szczególe. A właśnie tego, moim zdaniem, w swoim artykule dopuścił się p. Helcman, pisząc m. in.: „Nie są to więc teoretyczne rozważania naukowca, badającego życie przez mikroskop w zaciszu laboratorium, ale faktycznie ciężkie przeżycia na obczyźnie, gdzie katolicyzm jest militans, osaczony zewsząd, a jednak zwycięski, **mimo, że podstawiają mu nogi członkowie innej (polskiej) nacji, należącej do tegoż katolickiego Kościoła** i zdawało by się, zobowiązani pod tym względem do współpracy w dziele apostolstwa Chrystusowego. (...) Odnoszę również wrażenie, że X.M.W. mało się stykał **z naszym klerem w głuchych parafiach** Sandomierszczyzny lub Kieleckiego. Spędziłem tam sporo lat i **widziałem rzeczy, dzięki którym moje ukorzenie się przed nauką Chrystusową i powrót na łono Kościoła nastąpił dopiero pod koniec wojny, na wygnaniu w Anglii, gdyż tu spotkałem katolików z prawdziwego zdarzenia, a stwierdzić muszę, że szukałem ich w Polsce dość skrzętnie.** (...) Przykro mi, że doświadczenia z I i II wojny światowej **nie dały duchownym** i politycznym przywódcom **należytego zrozumienia istoty posłannictwa Polski**..." (Wszystkie podkreślenia są moje).

Co znaczą, Panie Redaktorze, drukowane w polskim katolickim tygodniku, takie twierdzenia p. Helcmana, jak to np., że katolicyzmowi angielskiemu „podstawiają nogi członkowie innej (polskiej) nacji..."? Pan Helcman, sam o tym święcie przekonany, powołuje się na p. J. Giertycha, który onegdaj przytoczył w ŻYCIU (Nr 4/188 z dn. 28. 1. 51 w artykule „Co o nas sądzą katolicy angielscy?") list jakiegoś Anglika katolika, skarżącego się na niegodne katolików zachowanie się Polaków w jego parafii. Sam p. Giertych, kończąc swój artykuł, wyraźnie zaznaczył, że „spostrzeżeń autora listu nie należy uogólniać". Zapewniam Pana, Panie Redaktorze, że każdy z nas, polskich księży w Wielkiej Brytanii, mógłby przytoczyć obok zasłyszanych skarg i narzekań na katolików Polaków, niezliczone zachwyty nad ich katolicyzmem, zachowaniem się ich w kościołach itp., i to tak ze strony świeckich katolików angielskich jak i angielskich księży. Czemuż to katolicka hierarchia brytyjska i czynniki odgrywające jaką taką rolę w życiu katolickim Wielkiej Brytanii, uważają pobyt Polaków tutaj za wyraźną łaskę Boga, okazaną Kościołowi w Zjednoczonym Królestwie? Czy z powodu okazji do nawracania Polaków na katolicyzm „z prawdziwego zdarzenia", czy może w wielu bardzo wypadkach całkiem na odwrót, tzn. z powodu sposobności do nauczenia się od Polaków wielu rzeczy, które mogą być wzorem i przykładem dla katolików całego świata?

Nie bronię „naszego kleru w głuchych parafiach Sandomierszczyzny lub Kieleckiego", ani nie śmiem tuszować rzeczy, „dzięki którym powrót pana Helcmana na łono Kościoła nastąpił dopiero (...) w Anglii". Ubolewam nad tym szczerze i głęboko, sam bijąc się w piersi w poczuciu popełnionych win, choć nigdy nie byłem „w głuchych parafiach" Polski. To jednak twierdzenie p. Helcmana, że on „dopiero tutaj (tj. w Anglii) spotkał katolików z prawdziwego zdarzenia, pomimo, że szukał ich w Polsce dość skrzętnie...", wygląda na to, że albo p. Helcman szukał ich słabo, albo też, że w Polsce nie było ich wcale. Jeśli p. Helcman ma to ostatnie na myśli to przeciwko temu jego twierdzeniu zmuszony jestem jak najkategoryczniej zaprotestować, gdyż historia polskiego katolicyzmu przeczy podobnemu twierdzeniu jak najbardziej stanowczo i daje aż nadto dowodów na to, że twierdzenie p. Helcmana, nie będąc „dobrze i gruntownie uzasadnionym", jest oparte na jego, moim zdaniem, bardzo, może aż za bardzo subiektywnym i, jak pozwalam sobie mniemać, bardzo mylnym przekonaniu.

Pisze p. Helcman, że „doświadczenia I i II wojny światowej nie dały duchownym (...) przywódcom należytego zrozumienia istoty posłannictwa Polski...". Czy mam to rozumieć tak, że p. Helcman istotę tego posłannictwa zrozumiał lepiej niż kardynałowie Hlond i Sapieha? lepiej niż Episkopat Polski z księżmi Wyszyńskim, Jałbrzykowskim i innymi?

Można byłoby tutaj przytoczyć jeszcze wiele innych twierdzeń p. Helcmana, od których roi się jego artykuł, a które, moim zdaniem, wcale nie są, wbrew zapowiedziom Pana Redaktora, „dobrze i gruntownie uzasadnione" i które, obawiam się, świadczą dobitnie o tym, że autor ma jakiś żal do polskiego katolicyzmu, nosząc w swym sercu do niego jakieś głębokie i niezrozumiałe urazy. Inaczej nie umiem zrozumieć tych wszystkich gorzkich i, w moim przekonaniu, jakże niesłusznych i wysoce krzywdzących zarzutów, stawianych przez p. Helcmana polskiemu katolicyzmowi w związku, a nawet i bez żadnego związku z artykułem ks. Meysztowicza.

Nie tu jednak miejsce na dyskutowanie z p. Helcmanem na temat jego artykułu zdanie po zdaniu, chodzi mi bowiem o formę i poziom dyskusji, a nie o prostowanie twierdzeń p. Helcmana. Uważam jednak za swój obowiązek wyjaśnić tak panu Helcmanowi, jak i Redakcji ŻYCIA sprawę, wzmiankowanego w artykule „kontredansu mężów i żon podczas 20-lecia niepodległości od Głowy Państwa poczynając".

Zaznaczam, że nie kwestionuję w zasadzie owego „kontredansu", który istotnie miał w Polsce miejsce i był jedną z naszych największych bolączek, a nawet klęsk. Kwestionuję natomiast udział Głowy Państwa w tym „kontredansie". Przypuszczam, że p. Helcmanowi chodzi o prof. Mościckiego. Otóż wśród par owego „kontredansu" pary państwa Mościckich nie było z całą pewnością. Znam, bo dokładnie przejrzałem je wszystkie, akta, związane ze sprawa unieważnienia małżeństwa pp. Nagórnych (późniejsza p. Mościcka, jako Maria Nagórna była w procesie jedną ze stron), studiowałem specjalnie prawo małżeńskie i mam za sobą dłuższą praktykę sądową, mogę więc twierdzić, że ślub prof. Mościckiego, zawarty podczas pełnienia przez niego obowiązków Prezydenta R.P., był zgodny ze wszystkimi wymogami prawa kanonicznego. W chwili zawierania tego ślubu prof. Mościcki był wdowcem. Małżeństwo mjra Nagórnego zostało specjalną i prawomocną deklaracją uznane za zawarte nieważnie a przeto za nieistniejące, a to na podstawie procesu kanonicznego, przeprowadzonego w dwóch kolejnych i niezależnych od siebie instancjach sądowych. Ślub państwa Mościckich został pobłogosławiony przez katolickiego arcybiskupa warszawskiego, który był kardynałem św. Rzymskiego Kościoła. I nie przystoi żadnemu katolikowi kwestionować tego, co u katolików nie może wzbudzać żadnych wątpliwości, — i nie uchodzi katolickiemu tygodnikowi drukować podobnych insynuacji, ponieważ podobne kwestionowanie i drukowanie rzuca nie tylko cień na, Bogu ducha winnych i nie mogących się dziś bronić, ludzi, lecz to wszystko zakrawa na podważanie instytucji Kościoła katolickiego, ustanowionych prawnie i funkcjonujących z nakazu i pod nadzorem katolickiej hierarchii.

Obawiam się, Panie Redaktorze, że p. Helcman, zarzucając ks. Meysztowiczowi „zagalopowanie się..., jeśli nie rozminięcie się z prawdą historyczną", skierował swój zarzut w mylnym, ale to całkiem mylnym kierunku. Stawianie zarzutów, które nie są „dobrze i gruntownie uzasadnione", bywa czasami bardzo niebezpieczne, gdyż niektóre zarzuty mają właściwości bumerangu.

Wierzę, że p. Helcman, pisząc swój artykuł, działał w najlepszej intencji i miał najlepszą wolę. Usprawiedliwia go też w moich oczach (że użyję tutaj słów z artykułu ks. Meysztowicza, które skwapliwie przytoczył, pisząc swój artykuł, p. Helcman) „wiele zapału właściwego neofitom w pracy na niwie kościelnej".

* * *

W swoim grudniowym, kilkakrotnie już w tym liście przytaczanym, artykule Pan, Panie Redaktorze, tak pisał o publicystach: „...Wpadali oni niekiedy w ostateczność — wypisywali pod pozorem wolności słowa — wszystko, co im się pod pióro nawinęło. Bez kontroli, bez spojrzenia na cel i skutek pisania. (...) Publicysta, zaiste, nie może być związany od zewnątrz, ale tym mocniej musi być związany i kontrolowany od wewnątrz przez siebie. (...) Publicysta słusznie musi domagać się swobody słowa, ale tylko wówczas wolno mu jej używać, jeśli (...) potrafi trzymać siebie w garści wobec małych i dużych pokus. (...) Będziemy starali się dać w ŻYCIU takim publicystom warsztat ich zawodu, bacząc, aby obydwa pozornie przeciwstawne warunki były wypełniane i dotrzymywane".

Czy to, co Pan, Panie Redaktorze, napisał o publicystach, były to istotnie wiążące wytyczne dla „całej tej publicystyki" wydawniczego ośrodka Veritas, czy też był to po prostu tylko i wyłącznie czołowy, zresztą bardzo piękny, artykuł w jednym z kolejnych numerów tygodnika, a więc bez jakichś zobowiązań i bez konsekwencji? Czyżby to były słowa, tylko słowa i nic więcej, Panie Redaktorze?

* * *

Oto kilka moich spostrzeżeń, znanych zresztą Panu, gdyż w naszych wspólnych rozmowach wzmiankowałem o nich kilkakrotnie, zawsze z ust Pana słysząc uprzejmą zachętę, bym je wszystkie spisał w formie Listu do Redaktora. „Tu l'as voulu, Georges Dandin!" Spisałem.

Wiem, że należało by ten list zakończyć jakimś związaniem, jakimś wnioskiem, jakimś tzw. szumnie „końcowym akordem". Nie uczynię tego, bo pragnę pozostawić to całkowicie Panu, który, jak mam nadzieję nie puścił w niepamięć jednego z pierwszych zdań tego listu, mówiącego o tym, że ŻYCIE założone zostało przez polskich księży, by było im pomocą w ich duszpasterzowaniu, nigdy zaś po to, by przysparzało im w tym duszpasterzowaniu kłopotów i trudności.

Proszę mi nie brać za złe, że uprzejme zachęty Pana do napisania tego listu realizowałem, mając dwie stare maksymy w żywej pamięci:

Jedną: „Amicus personae inimicus causae" i drugą: „Amicus Plato sed magis amica veritas" (veritas nie w znaczeniu tylko ośrodka wydawniczego, naturalnie!).

Wyrazy wysokiego poważania łączę

Ks. Rafał Gogoliński-Elston

Londyn, dn. 15 marca 1951 r.

Z KRAJU

NAGRODY DLA DZIECI-ARTYSTÓW

W związku z Międzynarodowym Dniem Dziecka reżymowe ministerstwo kultury i sztuki ustanowiło dwie nagrody po 8 tys. zł., które przyznawane będą co roku w dniu 1 czerwca dzieciom i młodzieży bądź za całokształt pracy artystycznej, bądź za najwybitniejsze osiągnięcie w poszczególnych dziedzinach sztuki. Specjalnie powołane jury przyznawać będzie nagrody za twórczość w dziale literatury, muzyki, plastyki, teatru, radia i filmu.

Istnieją całkiem uzasadnione podstawy do obaw, że nagrody służyć będą dalszemu zatruwaniu duszy polskiego młodego pokolenia.

KSIĄŻKA O POWSTANIU KRAKOWSKIM 1846,

Warszawa 1950, Prasa Wojskowa, str. 130. Komuniści nie zaniedbują żadnej okazji, by rozniecać nienawiść klas. Jednym z przejawów owej polityki jest „ubrązowianie" rzezi galicyjskiej, która jest tematem tej pracy.

„PISMA" ELIZY ORZESZKOWEJ

Zbiorowe wydanie pism Orzeszkowej, rozpoczęte przez „Książkę i Wiedzę", obejmuje już 40 tomów. W ostatnich miesiącach ukazały się: tom 30 — powieść „Na prowincji" (358 str.); tomy 31, 32, 34 — zbiory nowel „Przędze", „Chwile" i „Iskry"; tomy 38 — 40 — najdłuższa powieść Orzeszkowej, obejmująca ponad tysiąc stron druku, pt. „Pamiętnik Wacławy"; tomy 43 i 44 — powieść społeczna „Eli Makower"; tom 45 — powieść „Pompalińscy"; tom 50 — powieść ze świata antycznego pt. „Czciciele potęgi" i nowele ze zbioru „Stare obrazki".

Każdy tom jest zamknięty notą bibliograficzną.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY

Nowy Samorząd Domów Akademickich postawił sobie na pierwszy plan „zmianę atmosfery domów, wyrobienia poczucia socjalistycznej społeczności, obudzenia komsomołowskiego entuzjazmu pracy." („Trybuna Ludu").

*

PALM (Pomoc Lekarska Młodzieży Akademickiej) planuje masowe badania studentów wszystkich uczelni. Wstępujących na uczelnię chorych PALM skierowuje na studia, odpowiadające stanowi ich zdrowia.

*

Nie omieszkano nadać charakteru politycznego również zabawom. „Sztandar Młodych", piętnując dotychczasowe zabawy, zamieszcza następujący opis nowej „idealnej": „Tańczono ludowe tańce, w przerwach odbywał się konkurs na recytowanie wierszy, śpiewano młodzieżowe piosenki. Było bardzo przyjemnie. Piosenki i wiersze, piękne artystyczne dekoracje i dowcipna szopka polityczna mówiły o treści zabawy stanowiącej dobry, wychowujący wypoczynek. Po takiej zabawie każdy wracał do domu z jeszcze większą chęcią do pracy, — bo treść zabawy nie była oderwana od naszych zagadnień politycznych, bo zabawa dzięki swej młodzieżowej atmosferze wzywała do wydatniejszej pracy."

Obszar Warszawy został powiększony do 362 km kw. przez przyłączenie miasta Włochy oraz gmin Okęcie i Wilanów. Ludność Warszawy wzrosła przez to do 760.000.

Pen-Club Polski urządził w Warszawie posiedzenie w 40-lecie śmierci Lwa Tołstoja. Przemawiali: J. Parandowski, M. Dąbrowska, W. Rogowicz, R. Karst.

Na Dolnym Śląsku otwarte zostało, staraniem Twa Miłośników Anstronomii, planetarium astronomiczne.

Hilary Chełchowski został zamianowany „wiceprezesem Rady Ministrów".

„Sesja naukowa" z okazji III wydania I tomu „Kapitału" Marxa po polsku, odbyła się w Warszawie. Otworzył sesję Z. Modzelewski, po czym przemawiali liczni towarzysze, a wśród nich „goście zza granicy", tj. Rosjanie.

Przy pl. Wareckim (dawniej — pl. Napoleona), na miejscu, gdzie kiedyś był gmach poczty głównej, stanie 10-piętrowy hotel miejski, obliczony na 800 miejsc.

„Książka i Wiedza" wydała tom zawierający trzy tragedie Szekspira: „Otella", „Króla Lira" i „Makbeta", w nowym przekładzie Zofii Siwickiej.

Nowy periodyk lekarski, pod nazwą „Endokrynologia Polska", będzie ukazywał się w Kraju pod redakcją prof. dra A. Bera.

„Mazowsze", 110-osobowy zespół tańca i pieśni, powrócił do Kraju z tournée artystycznego po Sowietach. Trzytygodniowe turnée obejmowało 12 występów: 6 w Moskwie, 2 w Mińsku, 3 w Kijowie i 1 w kołchozie „Pierwomajskij" na Ukrainie.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — **3 pesos, kwartalnie 26 pesos,** półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem **641** — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, **48, rue d'Irlande, Bruxelles**, St. Gilles — **FRANCJA:** miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., **Przedstawicielstwo** „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., **kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają:** „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern. Bahnhofstrasse 19. — **SZWAJCARIA:** kwartalnie 3.50 frs. **Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas.** Section Suise. Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734